

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 16 (1130)

4 LIPCA 1982 R.

CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

Gniew i przebaczenie ●
Zbawcze znaczenie cierpienia ●
Z życia Kościoła: Studzianki Pancerne i Gdynia ●
Konferencja Światowa: Działacze religijni na rzecz ratowania świętego daru życia przed katastrofą nuklearną ●
Wakacje



Chlebem i solą wita zwierzchnika Kościoła bpa Tadeusza Majewskiego jeden z najbardziej zasłużonych parafian — pan Franciszek Marchewka



Moment ślubowania młodzieży po otrzymaniu Sakramentu Bierzmowania

PIĄTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Piotra Apostoła — (1 P 3, 8—15)

Najmilsi: bądźcie wszyscy jednomyślni, współczujący, braci miłujący, miłośni, skromni, pokorni, nie oddając złem za złe, ani złorzeczeniem za złorzeczenie, lecz przeciwnie, błogosławcie, gdyż na to wezwani jesteście, abyście błogosławieństwo w dziedzictwie otrzymali.

Albowiem, kto chce miłować żywot i oglądać dni szczęśliwe, niech pohamuje język swój od złego, a usta jego niech nie mówią zdrady. Niech stroni od złego, a niech czyni dobrze, niech szuka pokoju i niech za nim zdąży. Gdyż oczy Pańskie nad sprawiedliwymi, a uszy Jego ku prośbom ich. Lecz oblicze Pańskie przeciw dopuszczającym się zła.

I któż wam zaszkodzi, jeśli gorliwie dobrze czynić będziecie? A jeśli nawet i cierpicie to dla sprawiedliwości, błogosławieni jesteście. A grózb ich nie lękajcie się, ani nie poddawajcie się w trwodze. Lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

Psalm responsoryjny — (27, 1—11)

Refren: Pan światłem moim i zbawieniem moim

1. Pan światłem i zbawieniem moim, kogóż mam się lękać?
Pan obroną życia mego, przed kim mam się trwożyć?
2. O jedno proszę Pana, tego poszukuję;
bym w Domu Pańskim przebywał po wszystkie dni życia mego.

Refren: Pan światłem moim i zbawieniem moim

3. Szukam, o Panie, Twojego oblicza;
swego oblicza nie zakrywaj przede mną.
4. Naucz mnie, Panie, Twojej drogi;
prowadź mnie ścieżką bezpieczną.

Refren: Pan światłem moim i zbawieniem moim

5. Chwała Ojcu i Synowi
i Duchowi Świętemu.
6. Jak było na początku, teraz i zawsze;
i na wieki wieków. Amen.

Refren: Pan światłem moim i zbawieniem moim

Ewangelia według św. Mateusza — (5, 20—24)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim: Jeśli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż uczonych w zakonie i faryzeuszów, nie wnikniecie do Królestwa niebieskiego. Słyszeliście, że powiedziane było starym: nie zabijaj, a kto by zabił, będzie winien sądu. A ja powiadam wam, że każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A kto by rzekł bratu swemu „Raka”, będzie winien Rady, a kto by rzekł „Głupcze”, będzie winien ognia piekielnego.

Jeżeli tedy poniesiesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pojednać się pierwej z bratem twoim. A potem przyjdiesz i złożysz dar twój.

Gniew i przebaczenie

Za pośrednictwem liturgii dzisiejszej udziela nam Kościół bardzo ważnej nauki. Jest to nauka o miłości bliźniego. Stąd też niedzielę obecną można nazwać „niedziela miłości bliźniego”. Już bowiem w kolekcji prosimy, byśmy Boga „we wszystkim (również w bliźnim) i nade wszystko miłowali”. Natomiast w lekcji mszalnej (1 P 3,8—15) zachęca nas Apostoł gorąco do miłości bliźniego. Wreszcie przez słowa ewangelii (Mt 5,20—24) ogłasza Syn Boży naukę, którą można streścić w zdaniu: Ojciec niebieski nie przyjmie ofiary od takiego dziecka, które chowa w sercu nienawiść do brata swego. I to będzie treścią niniejszego rozważania.

Rozpocząwszy nauczanie i dokonawszy pierwszych cudów w Galilei, stał się Jezus sławny nie tylko w tej krainie, ale i poza jej granicami. Z niezwykłą szybkością — z jaką rozchodziły się wszelkie ustne wieści w świecie semickim — sława nowego Nauczyciela rozniosła się po Judei i Idumei, po Dekapolu i nad morzem Śródziemnym. Toteż wkrótce gromady ludzi z tych krain zdążyły do Galilei, by ujrzeć i usłyszeć sławnego Proroka. Wobec napływu coraz liczniejszych tłumów, uznał Zbawiciel za stosowne wygłosić kazanie inauguracyjne i przedstawić w nim swój program moralno-etyczny.

Pierwsi trzej Ewangelieści podają, że kazanie to wygłoszone zostało „na górze”, ale nie określają bliżej tego miejsca. Można się tylko domyślać, że była to jakaś góra w Galilei. Według tradycji sięgającej IV wieku, jest to wzniesienie około 150 metrów wysokie — położone na zachodnim brzegu jeziora Genezaret, w miejscowości Tabgha,

oddalonej 13 km od Tyberiady, a 3 km od Kafarnaum — zwane „wzgórzem błogosławieństw”. Właściwym jednak miejscem, gdzie wygłoszone zostało kazanie, nie był szczyt, ale płaszczyna położona nieco niżej w kierunku południowo-zachodnim od szczytu.

Ewangelia dzisiejsza stanowi początek dłuższego fragmentu „kazania na górze”, w którym Bóg-Człowiek stwierdza, że Nowe Przymierze będzie doskonalsze od Prawa starozakonnego. Tej doskonałości domaga się od swoich słuchaczy, mówiąc: „Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie obfitsza niż sprawiedliwość uczonych w Piśmie i faryzeuszów, nie wejdziecie do Królestwa Niebios” (Mt 5,20). Zwraca więc uwagę, że wierność prawu Bożemu jego wyznawców ma przewyższać (w sensie jakościowym a nie ilościowym) sprawiedliwość duchowych przywódców narodu żydowskiego.

Wchodząc zaś w szczegóły, Zbawiciel, stwierdza: „Słyszeliście, iż powiedziano przodkom (waszym): „Nie bądźcieś zabił, a kto by zabił, pójdzie pod sąd” (Mt 5,21). Był to — jak wspomina historyk żydowski Józef Flawiusz — trybunał lokalny, złożony z siedmiu sędziów, który wymierzy winowajcy odpowiednią karę. Ale od wyznawców swoich żąda Chrystus więcej. Oświadcza bowiem: „A Ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, pójdzie pod sąd” (Mt 5,22a). Ma tutaj Syn Człowieczy na myśli gniew trwały, graniczący z nienawiścią, który często jest źródłem morderstw. Gniew taki również zasługuje na karę. Zakazując takiego gniewu, podcina Jezus sam korzeń zabójstwa.

Kontynuując swoją wypowiedź, mówił Chrystus dalej: „A kto by rzekł bratu swemu: Racha, stanie przed Radą Najwyższą” (Mt 5,22b). Słowo „racha” było wyrażeniem obelżywym i znaczyło raniej więcej: „pusta głowa” lub „człowieku godny pogardy”. Wynika więc z tych słów, że kto by zelżył drugiego w ten sposób, winien być sądzony przez najwyższy trybunał jerozolimski (Sanhedryn), który był władny wymierzać nawet karę śmierci. Oczywiście miałyby to miejsce wtedy, gdyby ktoś rzucił tę obelgę nie z porywczosci, ale z całym zastanowieniem i nienawiścią.

Uzupełniając rozpoczętą myśl, Zbawiciel dodał: „A kto by rzekł: Głupcze, pójdzie w ogień piekielny” (Mt 5,22c). Wyrażenie „głupiec” używane było w Piśmie św. na określenie człowieka przeczącego istnieniu Boga. Za takim rozumieniem przemawiają słowa: „Głupczy i rzekł w sercu swoim: Nie ma Boga!” (Ps 14,1). Ostatnie słowa przytoczonego wiersza w starych tłumaczeniach Biblii brzmiały: „Tego czeka gehenna ognia”. Słowem „gehenna” (od hebrajskiego: Ge-Hinnom) określano dolinę leżącą na południe od Jerozolimy, gdzie w okresie nasilania się pogaństwa składali Izraelici bożkowi Molochowi swoje dzieci na całopalenie (por. 2 Krl 23,10; Jr 7,31). Miejsce to było w obrzydzeniu u ludu i wyrzucano tutaj wszelkie nieczystości z miasta. Następnie palono je, by nie zatrwały otoczenia. Jednak zarówno w literaturze talmudystycznej, jak i w Nowym Testamencie, wyrażeniem tym określano miejsce mąk potępionych — piekło.

Praktyczna nauka zawarta w przytoczonym fragmencie „kazania na górze”, zawarta jest w słowach: „Jeśli byś więc składał dar swój na ołtarzu i tam wspomniał byś, iż brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw... dar swój na ołtarzu, odejź i najpierw pojednaj się z bratem swoim, a potem przyszedźszy, złoż dar swój” (Mt 5,23—24). Zaleca więc Chrystus potrzebę zgody i pojednania z bliźnim. Bowiem bez miłości bliźniego Bóg nie przyjmuje ofiary.

Gniew określany jest zwykle jako niepojęte wzburzenie umysłu, połączone najczęściej z chęcią zemsty. Jest to więc uczucie nie licujące z godnością chrześcijanina. Gniew może być nawet grzechem ciężkim, jeżeli wywołany został przez bląhą przyczynę, lub też przekracza on miarę nałożoną przez chrześcijańską miłość bliźniego. Stąd też Apostoł w swym liście powszechnym zaleca: „Niech każdy człowiek będzie skory do słuchania, (a) nieskory do mówienia, skory do gniewu. Bo gniew człowieka nie czyni tego, co jest sprawiedliwe u Boga” (Jk 1,19—20).

Warto również pamiętać, że gniew bardzo łatwo przerodzić się może w uczucie nienawiści i zemsty, a stąd już tylko jeden krok do największych zbrodni. Bowiem „każdy, kto nienawidzi brata swego, jest zabójcą, a... żaden zabójca nie ma w sobie żywota wiecznego” (1 J 3,15). Nie należy się więc dziwić, że św. Paweł tak stanowczo stawia w swych listach ten problem. Pisze bowiem: „Teraz odrzućcie i wy to wszystko: (mianowicie) gniew, zapalczywość, złość” (Kol 3,8). Gdzie indziej zaś oświadcza: „Chcę tedy, aby mężczyźni modlili się... wznosząc czyste ręce, bez gniewu i swarów” (1 Tm 2,8), gdyż tylko wówczas liczyć mogą na wysłuchanie. Wreszcie dodaje: „Niech słońce nie zachodzi nad gniewem waszym” (Ef 4,26). Bowiem od żadnego ze swych ziemskich dzieci, które z bratem żyje w nieprzyjaźni, gniewie lub nienawiści, Ojciec niebieski nie przyjmie daru, ani ofiary. Co więcej! Z człowiekiem takim nie chce mieć łączności, i nie będzie dla niego miejsca w Królestwie Niebios.

Jeżeli więc chcemy zasłużyć sobie na miano uczniów Chrystusa, musimy nauczyć się przebaczenia. Sam Zbawiciel dał nam tego przykład. Bowiem umierając na krzyżu nie tylko wspaniałomyślnie przebaczył tym, którzy go krzyżowali, ale jeszcze modlił się za nich, mówiąc: „Ojczy, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią” (Łk 23,34). Od naszego przebaczenia uzależnił również odpuszczenie naszych win. Powiedział bowiem: „Jeśli odpuścicie ludziom ich przewinienia, odpuści i wam Ojciec wasz niebieski” (Mt 6,14). Zwraca na to uwagę Apostoł, gdy pisze: „Znoście jedni drugich, przebacząc sobie nawzajem, jeśli kto ma powód do skargi przeciw komu: Jak Chrystus odpuścił wam, tak i wy” (Kol 3,13).

Umiejętność przebaczenia zjednoczy zwaśnione rodziny, będzie pomocne do osiągnięcia porozumienia narodowego, otworzy nam dostęp do korzystania z owoców Mszy św. i Komunii świętej, oraz zapewni nam uczestnictwo w społeczności świętych w niebie.

Ks. JAN KUCZEK

„Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? Daleko od mego Wybawcy słowa mego jęku” (Ps 22,2)

Wielokrotnie cytowany w Nowym Testamencie Psalm 22 (według LXX i Wlg 21) składa się z 32 wierszy i z dwóch części, które cechują się odrębnym rodzajem literackim. Część pierwsza (wiersze 2-22) — to indywidualna lamentacja lub elegia z domieszką elementów prośby i ufności; część druga (w. 23-32) — to pieśń dziękczynna, również indywidualna o cechach hymnodycznych. Jednakże część pierwsza i druga tworzą jedną całość kompozycyjną. Psalm ten zawiera starą tradycję, która swymi początkami sięga króla Dawida, ale w ciągu swych dziejów psalm ten był uzupełniany w miarę rozwoju idei cierpiącego Sługi Bożego. Nie jesteśmy w stanie określić daty ostatecznej redakcji naszego psalmu.

Część pierwsza Psalmu 22 zaczyna się charakterystyczną skargą: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” (w. 2a). Psalmiście dane było wniknąć dogłębnie w tajemnicę cierpienia, w tajemnicę, która skumulowała w sobie wszelkie możliwe do obrażenia cierpienie. Dwukrotnie zwraca się on do Boga z wezwaniem, któremu towarzyszy pytanie: „Dlaczego?” Dlaczego opuściłeś mnie, Boże mój? Psalmista uświadamia sobie swoje opuszczenie przez Boga, swe oddalenie od Niego w największej swej udręce. Autor pyta, dlaczego cierpi, ale przecież nie traci on wiary i ufności. „Daleko od mego Wybawcy słowa mego jęku” (w. 2b). Dotkliwie cierpi, wydaje się mu, że Bóg oddalił się od niego, że zapomniał o nim. Psalmista jęczy w udręczeniu, a jęk jego z bólu staje się podobny do ryku lwa, co wyraża bezmiar cierpienia. Ale w cierpieniu tym Psalmista daje wyczuć, że jego Wybawcą jest jedynie Bóg. Pierwsza część omawianego tu wiersza (2a) posłużyła Chrystusowi jako modlitwa, gdy cierpiał On na krzyżu nie do opisania męką w opuszczeniu. „Około godziny dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: Eli, Eli lema sabachthani? — to znaczy: Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mt 27,46; por. Mk 15,34).

Cierpienie skarżące się trwa już dłuższy czas: „Boże mój, wołam przez dzień, a nie odpowiadasz, (wołam) i nocą, a nie zaznaję spoczynku” (w. 3). Gorycz cierpienia powiększa świadomość opuszczenia przez Boga. Ale Psalmista się nie załamuje, ufa on ciągle Bogu, chociaż „nie ustaje w płaczu me oko, bo nie ma ulgi” (Lm 3,49). W ciemnej nocy cierpienia trudno jest, zwłaszcza dla siebie, o receptę na bohaterstwo. Myśląc po ludzemu mamy prawo zapytać, dlaczego nie załamał się Psalmista w tak wielkim cierpieniu? A oto odpowiedź: „Przecież Ty mieszkasz w świątyni, chwala Izraela! Tobie zaufali nasi przodkowie, zaufali, a Tyś ich uwolnił; do Ciebie wołali i zostali zbawieni, Tobie ufali i nie doznali wstydu” (w. 4-6). Jahwe uwidocznił swą obecność wśród ludu w czasie poświęcenia świątyni Salomona. Ufność przodków Izraela stała się przykładem dla poszczególnych jednostek, krzepiła na duchu cierpiącego Psalmistę, a na skutki nie trzeba było długo czekać.

Tak umocniony wewnętrznie piewca Pański podejmuje śmiało najokrutniejsze cierpienia, których sens można określić jako misterium zbawienia. „Ja zaś jestem robak, a nie człowiekiem, pośmiewisko ludzkie i wzgardzony u ludu” (w. 7). Cierpiący stał się podobny do robaka pełzającego w prochu. Porównanie to jest znamienne: „Nie bój się, robaczku, Jakubie, nieboraku, o Izraelu! Ja cię wspomagam — wyrocznia Jahwe — odkupicielem towoim — święty Izraela” (Iz 41,14). Potrzeba odkupienia ludu Bożego sprawiła, że cierpiący jest w swej męce „robakiem, a nie człowiekiem”, że stracił on zupełnie godność ludzką, wszelkie podobieństwo do człowieka. „Jak wielu osłupiało na Jego widok — tak nieludzko został oszpecony Jego wygląd i postać Jego była niepodobna do ludzi” (Iz 52,14). Tak poniżonego atakują natychmiast jego wrogowie: „Szydzą ze mnie wszyscy, którzy na mnie



Zbawcze znaczenie cierpienia

patrzą, rozwierają wargi, potrzęsają głową: Zaufał Panu, niechże go wyzwoli, niechże go wyrwie, jeśli go miłuje” (w. 8-9). Rozwieranie warg, potrzęsanie głową oznacza szyderstwo, urąganie, kpiny. Wrogowie cierpiącego Psalmisty i lud radzą mu, aby zdał się na Pana, który ma w nim swe upodobanie. W wierszu 9 kryje się nie tylko szyderstwo, ale również i głębsza myśl religijna, że Bóg może wspomagać tego, kto twierdzi o sobie, iż Bóg ma w nim upodobanie (H. J. Kraus). Dlatego słowa te (w. 8-9) znalazły się w historii męki Pańskiej: „Ci zaś, którzy przechodzili obok, przeklinali Go i potrzęsalili głowami” (Mt 27,39; por. Mk 15,29). Nieco dalej zaś czytamy: „Zaufał Bogu: niechże Go teraz wybawi, jeśli Go miłuje. Przecież powiedział: Jestem Synem Bożym” (Mt 27,43).

Cierpienie nie kończy się jeszcze, przeciwnie — wzrasta i pogłębia się. Psalmista opisuje je przy pomocy obrazów i symboli zwierząt (bawołów) Baszanu (w. 13-14). Zwierzęta te oznaczają wrogów cierpiącego, którzy go atakują i starają się go zniszczyć. „Rozwierają przeciwko mnie swoją paszczę, jak lew drapieżny i ryczący” (w. 14). Cierpiący znajduje się już w stanie agonii: „Rozlany jestem jak woda i rozłączają się wszystkie moje kości; jak wosk się staje moje serce, we wnętrzu moim topnieje” (w. 15). Autor znowu posługuje się drastycznymi obrazami, przedstawiającymi jego organizm

w stanie wysokiej gorączki, która niebawem spowoduje śmierć. Agonia postępuje dalej: „Moje gardło suche jak skorupa, język przywiera do podniebienia, kładziesz mnie w prochu śmierci” (w. 16). Temperatura męcznego ciała tak się podniosła, że zupełnie wyschła jama ustna i następuje śmierć. „Potem Jezus świadom, że już wszystko się dokonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł: Pragnę!” (J 19,28).

„Bo (sfora) psów mnie opada, osacza mnie zgraja złoczyńców. Przebodli ręce i nogi moje (w. 17). Złość ludzka, ucieleśniona w złoczyńcach, stała się przyczyną śmierci niewinnie cierpiącego. „Policzyć mogę wszystkie moje kości, a oni się wpatrują, sycą mym widokiem” (w. 18). Dodatkowe cierpienie sprawia skazanemu obnażenie z szat i wystawienie nagości na widok publiczny. Wiersze 17 i 18 nie znalazły się w opisie męki Chrystusa, ale tradycja chrześcijańska słusznie związała z nią ten opis. Zgodnie ze wschodnim zwyczajem skazanemu zabierano wszystko, co jeszcze posiadał w chwili śmierci. „Moje szaty dzielą i los rzucają o moją suknię” (w. 19). Spełnienie tych słów znajdujemy również w nowotestamentowym opisie: „Gdy Go ukrzyżowali, rozdzielili między siebie Jego szaty, rzucając o nie losy” (Mt 27,35; por. J 19,23-24).

Cierpienie i śmierć biednego i sprawiedliwego Sługi Jahwe nie było daremne. Daje temu wyraz druga część psalmu. „Będę głosił imię Twoje swym braciom i chwalić Cię będę pośród zgromadzenia” (w. 23). Autor stwierdza, że został wysłuchany przez Boga, i chwalić Go teraz będzie za to w czasie zgromadzenia kultowego ludu Bożego z okazji większych świąt. Wówczas „ubodzy będą jedli i nasycą się, chwalić będą Jahwe ci, którzy Go szukają. Niech serca ich żyją na wieki!” (w. 27). Owoc cierpienia Sługi Bożego przekroczy granice Izraela i dotrze na krańce ziemi. „Przypomną sobie i wrócą do Jahwe wszystkie krańce ziemi; i oddadzą Mu pokłon wszystkie szczepy pogańskie” (w.28). Sprawi to zbawcze działanie w cierpieniu Sługi Bożego — Mesjasza. Przywrócony zostanie porządek naruszony grzechem: „bo władza królewska należy do Jahwe i On panuje nad narodami. Tylko Jemu oddadzą pokłon wszyscy, co śpią w ziemi, przed Nim zegną się wszyscy, którzy w proch zstępują. A moja dusza będzie żyła dla Niego” (w. 29-30). Panem i Sędzią świata jest Bóg, uznawać to będą w przyszłości wszyscy ludzie, nawet umarli, którzy zmartwychwstaną z prochu ziemi (por. Dn 12,2).

Psalm 22, którego zdołaliśmy rozważyć zaledwie kilka wierszy, przedstawia nam trudną do pojęcia i zrozumienia wielkość — tajemnicę cierpienia. Cierpienie, o którym mowa w psalmie, można by nazwać pracierpieniem lub wzorem cierpienia zbawczego. Znamienne są przy tym dwie rzeczy: a) indywidualny piewca cierpienia czuje się ściśle związany ze zgromadzeniem ludu Bożego, co w Nowym Testamencie odpowiada włączeniu jednostki do Kościoła Chrystusowego. b) Jezus przyjął na siebie całe cierpienie Starego Testamentu, Jego droga z nieba prowadziła do dna i głębi ludzkiego cierpienia (H. J. Kraus), aby w ten sposób uczynić je dla nas zbawczym.

Ks. KAZIMIERZ PIKULSKI

30-lecie istnienia parafii polskokatolickiej w Studziankach Pancernych



Asystują Księdzu Biskupowi — ks. prob. Bogusław Wołyński z Radomia i ks. Henryk Dąbrowski



Procesja wokół kościoła

Dię 23 maja br. pozostanie na długo w pamięci parafian studziankowskich. Byli bowiem świadkami i uczestnikami przepięknej uroczystości religijnej z okazji 30 rocznicy zorganizowania w ich rodzinnej wsi parafii Kościoła Polskokatolickiego. Spośród najstarszych wyznawców niewiele już pozostało tych, którzy ten maj z roku 1952 pamiętają. Cała wieś zbuntowała się wówczas przeciwko władzom swego Kościoła i postanowiła prosić o opiekę duszpasterską nad nimi władze Kościoła Polskokatolickiego. Sam obecny zwierzchnik Kościoła biskup Ta deusz Majewski — a wtedy młodzieńki kapłan z Warszawy — przybył do Studzianek w towarzystwie innych duchownych, by tam, w skromnym baraku przeobrażonym na kaplicę, odprawić pierwszą Mszę św. w języku polskim. W świątyniach rzymskokatolickich rozbrzmiewała wtedy łacina — język piękny, szacowny, melodyjny — ale, niestety, niezrozumiały. I nikomu wówczas nawet przez myśl nie przeszło, że po kilkunastu latach, zostanie on wyparty przez mowę ojczystą ze świątyni rzymskokatolickich. Tak to czasem wystarczy jedno tchnienie Ducha Świętego, aby w gruzy położyć uswięconą tradycją, na skałę ubite poglądy i obyczaje.

Na uroczystość jubileuszową do Studzianek przybyło wielu księży oraz trzy autokary parafian — w tym dwa z Warszawy, a jeden z Radomia. Dię był z rana pochmurny, zanosilo się na deszcz. Studziankowski proboszcz, ks. Jerzy Rybka, martwił się bardzo, czy uroczystość się uda. Ale oto po godzinie 9 słońce wyrzrzało zza chmur, oświeciło i ogrzało wieś i okolice, radością przepelniło serca „pańników” autokarowych i rozwiało wątpliwości duszpasterza.

Uroczystą Sumę — jak zwykle przy takich okazjach — odprawił sam Zwierzchnik Kościoła. On też udzielił dzieciom Pierwszej Komunii św. On udzielił młodzieży Sakramentu Bierzmowania. On przemówił po nabożeństwie do wiernych, którzy wypełnili szczerne pięknie odremontowaną świątynię. Przypomniał w swej mowie historię parafii w Studziankach. Ileż trudu musieli podjąć gospodarze wsi, aby wybudować skromny drewniany kościółek, który zaraz ktoś podpalił, a następnie przystąpić do budowy kościoła większego, murowanego. Równocześnie musieli budować domy dla siebie, bo Studzianki zostały zmiecione z powierzchni ziemi w sierpniu 1944 roku podczas krwawych zmagani z dywizjami hitlerowców. Ich pierwszym duszpasterzem był ks. Eugeniusz Wielachowski, młody, energiczny i pełen inicjatywy kapłan. Kilkanaście lat pracował w Studziankach mieszkając w bardzo skromnych warunkach. Umiał nawiązać kontakt z wojskiem polskim z Warszawskiego Okręgu Wojskowego, zainteresować wojsko

dokończenie na s. 5—6



Pasterz
Kościoła
wśród
działwy
i młodzieży

Studziankami, bo zginęło w nich i okolicznych wsiach wielu żołnierzy z dzielnej 1 Brygady Pancerniej. Wojsko wybudowało drogę do Studzianek, zelektryfikowało wies, wybudowało Szkołę Podstawową Imienia Bohaterów Westerplatte. Nieco później pobudowano we wsi ośrodek Zdrowia, Agronomówkę, bar pod „Kulawym Tygrysem”, wzniesiono w 1961 r. w tle ściany lasu pomnik-mauzoleum, a w miejscu tym postawiono na wysokim wzniesieniu czołg nr 217. Czołg ten brał udział w walkach pod Studziankami i w swym szlaku bojowym do Berlina zniszczył 11 hitlerowskich czołgów. Studzianki, dzięki żołnierskiej opiece, stały się wsią atrakcyjną, gromadzącą po dziś dzień sporo wycieczkowiczów.

Po księdzu Eugeniuszu Wielachowskim przejął parafię w Studziankach ks. Jerzy Rybka i już 11 lat tu duszpasterzuje. Mają szczęście Studzianki, bo oto znów otrzymały dzielnego, pracowitego i młodego księdza. Jak pięknie wyremontował on kościół, jak boazerią z drewna wylo-

„Pokój z tobą”
— lekki
policzek
w ceremonii
Sakramentu
Bierzmowania



żył wewnątrz, jaką — rzeźbioną w drzewie — Stację Męki Pańskiej zakupił, o jakie szaty i naczynia liturgiczne się postarał! Niczym w katedrze w Warszawie odprawiane są w świątyni studziankowskiej nabożeństwa. Piękna tam teraz służba Boża, a jak rozśpiewany cały kościół, z jakim zapalem śpiewa młodzież i dzieci, aż serce się raduje, i nawet długie modły się nie dłużą.

W ton wspomnień uderzył także obecny na Mszy św. ks. Edward Bałakier. Był i jest on ze Studziankami szczególnie związany. Bodaj przez 10 lat — od 1952 roku poczynając — przyjeżdżał do parafii na rekolekcje adwentowe i wielkopostne. Spowiadał dzieci i młodzież, głosił kazania, bo nie było innych księży w Warszawie i parafianie studziankowscy musieli znosić jego częstą obecność. A jakie to były jazdy... Od stacji Grabów jechało się furmanką po takich błotach w lesie, że koła się zanurzały po osie i parą koni trzeba było wieźć księdza, którego waga nie sięgała nigdy 60 kg. Za to w ziemie jechało się przyjemnie zaułkami, choć

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (651)

W opracowaniu bp M. Rodego

M

odbywane są kolejno w różnych miejscowościach krajów, w których istnieją i działają Kościoły Starokatolickie — na ogół raz w roku. Istotne prawdy, które przyjmują i zobowiązani są przyjąć biskupi starokatolicki i ich Kościoły Starokatolickie, i które ich i je łączą i spajają w jednolitą ideową jedność mimo krajowych różnorodności drugorzędnych i nawet niejednokrotnie również różnych form organizacyjno-ustrojowych, chociaż w tych przypadkach też raczej drugorzędnych, są zawarte w Deklaracji Utrechckiej Biskupów Starokatolickich z 24 września 1889 roku, a która to Deklaracja brzmi następująco:

Deklaracja Utrechcka Biskupów Kościołów Starokatolickich z 24 września 1889 roku:

1. Zachowujemy starokatolicką zasadę, wypowiedzianą przez św. Wincentego z Lerynu w zdaniu *Id teneamus, quod ubique, quod semper, quod ab omnibus creditum est; hoc est enim vere proprie catholicum*, czyli *Trzymamy się tego, co wszędzie, co zawsze, co przez wszystkich było wyznawane; to jest bowiem prawdziwie i rzeczywiście katolickie*. Dlatego zachowujemy wiarę starego Kościoła tak, jak wyrażona ona została w symbolach ekumenicznych i w przyjętych powszechnie dogmatycznych orzeczeniach soborów ekumenicznych niepodzielnego Kościoła pierwszego tysiąclecia.

2. Odrzucamy watykańskie dekryty z 18 lipca 1870 roku o nieomylności i uniwersalnej jurysdykcji, czyli kościelnej wszechwładzy papieża rzymskiego, gdyż są one sprzeczne z wiarą starego Kościoła i burzą ustrój starokościelny. Nie przeszkadza nam to jednak w uznawaniu historycznego prymatu tak, jak kilka soborów ekumenicznych i Ojcowie starego Kościoła przyznawali go biskupowi Rzymu jako primus inter pares za zgodą całego Kościoła pierwszego tysiąclecia.

3. Odrzucamy też, jako nie uzasadnioną w Piśmie św. i Tradycji pierwszych stuleci, deklarację Piusa IX z 1854 roku o Niepokalanym Poczęciu Maryi.

4. Co zaś dotyczy innych dekretów dogmatycznych ogłoszonych w ostatnich wiekach przez biskupa rzymskiego — bulli *Unigenitus*, *Auctorem fidei*, *Syllabus* z 1864 roku itd. — odrzucamy je o tyle, o ile są one sprzeczne z nauką starego Kościoła; nie uznajemy ich miarodajności. Odnowiamy ponadto wszystkie te protesty, które już dawniej podniósł wobec Rzymu Kościół Starokatolicki Holandii.

5. Nie uznajemy orzeczeń Soboru Trydenckiego dotyczących dyscypliny, a orzeczenia dogmatyczne uznajemy o tyle, o ile są one zgodne z nauką starego Kościoła.

6. Zważywszy fakt, że święta Eucharystia w Kościele katolickim od dawna stanowi prawdziwy ośrodek służby Bożej, uważamy za swój obowiązek oświadczyć również, że zachowujemy wiernie w nienaruszonej formie starą katolicką wiarę w Najświętszy Sakrament Ołtarza, wierząc, że pod postaciami chleba i wina przyjmujemy Ciało i Krew naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Sprawowanie Eucharystii w Kościele nie jest ciągłym powtarzaniem czy odnawianiem Ofiary pojednania, jaką Chrystus złożył na Krzyżu raz na zawsze. Jej ofiarny charakter polega na tym, że stanowi trwałą pamiętkę tej Ofiary i jest dokonującym się tu na ziemi realnym uobecnieniem tej jedynej Ofiary Chrystusa, poniesionej dla zbawienia odkupionej ludzkości, która według Listu św. Pawła do Hebr. IX, 11—12 składana jest nieustannie przez Chrystusa w niebie, gdzie sam Chrystus wstawia się za nami przed obliczem Boga (Hbr. 9,24). Mając taki charakter w odniesieniu do Ofiary Chrystusa Eucharystia jest zarazem świętą Ucztą Ofiarną, podczas której wierni przyjmując Ciało i Krew Pana, nawiązują łączność ze sobą (I Kor. X,17).

7. Mamy nadzieję, że dzięki wysiłkom teologów i w oparciu o wiarę niepodzielnego Kościoła uda się osiągnąć porozumienie w sprawie różnic powstałych od czasu rozłamów kościelnych. Wzywamy podległych naszemu kierownictwu



Chwila skupienia przed rozpoczęciem uroczystej Mszy św.

często mroźny wiatr smagał twarz. Zdarzały się czasem podróże piechotą z Warcki do Grabowa, albo z Grabowa — 11 km — do sławnych dziś Studzianek Pancernych. Miło jest na starość wspominać idealizm i siłę młodości.

Po zakończeniu długich modlitw i ceremonii liturgicznych biskup Tadeusz Majewski odznaczył Złotym Orderem Biskupa Franciszka Hodura troje najstarszych zasłużonych parafian — panią Agnieszkę Kucharską i małżeństwo Franciszkę i Michała Marchewków. Następnie ks. Proboszcz wraz z Radą Parafialną podejmowali wszystkich gości z Warszawy i Radomia bigosem myśliwskim. Bo puszcza kozienicka otacza Studzianki, a w puszczy — wiadomo — odbywają się polowania, więc bigos jedzony w lesie musi być myśliwski. Pieczono, prócz tego, kiełbasę na rożnach, a potem młodzież próbowała tańczyć w lesie, chodząc rytmicznie w

Odznaczenie trojga najstarszych i najbardziej zasłużonych parafian Złotym Orderem Biskupa Franciszka Hodura



kółeczku. Od biedy można było nazwać to tańcem. Przygrywał do tańca pan Gawrych, świetny akordeonista, a jego siostra była w jakieś bębenki. Nigdy puszcza kozienicka nie słuszała takiej muzyki. Najstarsi wyznawcy pamiętają tylko muzykę rozrywających się szrapneli, terkot karabinów maszynowych i huk armat z roku 1944. O ileż lepsza jest od tamtej muzyka w czasie pokoju. Oby ten pokój, trwający w Europie, a więc i w Polsce 37 lat, przetrwał na zawsze. Oby nigdy więcej nie spalono domów w Studziankach. Oby parafia nasza w tej wsi niosła dobre imię Kościoła Polskokatolickiego po całej okolicy. Za wszystko, co było dotąd dobre w Studziankach, należy serdecznie dziękować Bogu, za złe przypraszać, o dalsze łaski i błogosławieństwo prosić.

E.B.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (652)

duchownych, aby w głoszeniu Słowa i nauczaniu w pierwszym rzędzie podkreślali istotne prawdy wiary chrześcijańskiej, wyznawane wspólnie przez rozdzielone kościelne wyznania; przy omawianiu zaś istniejących jeszcze sprzeczności należy starannie unikać wszelkiego naruszania zasad prawdy i miłości, a członków naszych wspólnot, za pomocą słowa i przykładu, należy tak pouczać, aby wobec inaczej wierzących zachowywali się zgodnie z duchem Jezusa Chrystusa, który jest Zbawicielem nas wszystkich.

8. Wierzmy, że przez wierne zachowywanie nauki Jezusa Chrystusa, odrzucając różne błędy spowodowane winą ludzi, wszelkie nadużycia kościelne i dążenia hierarchiczne — najskuteczniej przeciwdziałamy niewierze i obojętności religijnej, które są najgorszym złem naszej epoki.

Powyzszą Deklarację uznały i uznają Starokatolickie Kościoły w: Holandii, Republice Federalnej Niemiec, Szwajcarii, Austrii, Czechosłowacji; oraz Polski Narodowy Katolicki Kościół w Ameryce Półn. (USA), Kanadzie i Brazylii, Kościół Polskokatolicki w PRL i Chorwacki Kościół Katolicki w Jugosławii, jak również misje starokatolickie w różnych krajach, np. we Francji i we Włoszech.

Migne Jakub Paweł — (ur. 1800, 1875) — to zasłużony francuski ks. rzymskokatolicki, założyciel, wydawnictwa *L'Univers* (1836), czyli *Wszechświat* i znany wydawca przede wszystkim kompletu potrzebnego dzieł greckich i łacińskich Ojców Kościoła pt. *Patrologiae Cursus Completus* (1844—1860) z tym, że dzieła i źródła łacińskie zostały zawarte w: *Patrologia Latina* (t. I — 221), czyli *Patrologia Łacińska*, i *Patrologia Graeca* (t. I — 166), czyli *Patrologia Grecka*.

Mignot Szczepan — (ur. 1698, zm. 1771) — francuski teolog, autor wielu dzieł. Tu należy wymienić następujące: *Traité et polémique de la fin du monde, de la venue d'Élie et du retour des Juifs* (1737—1738; 3 tomy), czyli *Traktat polemiczny*

o końcu świata, przyjściu Eliasza i nawróceniu Żydów; Discours sur l'accord des sciences et des belles-lettres avec la religion (1753), czyli *Rozprawa na temat zgody literatury z religią*.

Mijakowski Jacek Jacynt — (ur. 1597, zm. 1647) — dominikanin, ks., teolog, przeor, kaznodzieja znany, również kaznodzieja na dworze króla Władysława IV. Jest autorem wielu kazań, spośród których szczególnego rozgłosu nabrało kazanie pt. *Kokosz krakowianom po kolendzie rozdawana* (1638).

Mikołaj z Kuzy — (Nicolaus Cusanus; ur. 1401, zm. 1464) — to włoski uczyony, filozof, teolog, ks., kardynał. Poglądy swoje opublikował przede wszystkim w następujących pracach (pisał oczywiście po łacinie): *De docta ignorantia* (1440), czyli *O uczonej niewiedzy; Idiota* (1450), czyli *Prostak; De venatione sapientiae* (1463), czyli *O zdobywaniu mądrości*. Poglądy swoje kształtował pod wpływem pitagoreizmu, filozofii Platona i Plotyna, filozofii i teologii św. Augustyna oraz mistycyzmu Eckharta, jako też współczesnych prądów umysłowych, więc przede wszystkim pod wpływem jemu współczesnego humanizmu włoskiego. Tu trzeba zwrócić uwagę na jego pojmowanie Boga, które to pojmowanie niektórzy zwą panteizmem, a w każdym razie graniczy ono z nim. Według Kuzańczyka bytem absolutnym może być jedynie absolutne maksimum. Takim „absolutnym maksimum”, jedynym i wyłącznym jest Bóg. Jednak „maksimum” zawiera w sobie „minimum”, czyli można powiedzieć: „Wszystko we wszystkim”. Tedy „Bóg jest we wszystkich bytach, we wszystkich rzeczach, tak jak one wszystkie są w Nim”. Wszechświat więc musiałby być zmysłowo, „fizycznie” zmieniającym się i objawiającym się Bogiem. To zaś, co we wszechświecie, konkretniej w przyrodzie, jest względne i nierozwinięte, w Bogu jest absolutne i doskonałe.

Poświęcenie placu pod dom parafialny im. Bpa Franciszka Hodura w Gdyni

Na podstawie decyzji Prezydium Rady Synodalnej zatwierdzono projekt budowy domu parafialnego w Gdyni, przy ul. Warszawskiej 7. Na ten ważny akt parafia gdyńska zasłużyła sobie swym wiernym 23-letnim trwaniem przy ojczystym Kościele. Toteż z radością zebrali się wierni i sym-

patycy parafii w swej świątyni, w niedzielę 9 maja, na mające nastąpić poświęcenie placu pod budowę.

Uroczystość poprzedziła spowiedź ogólna, przeprowadzona przez ks. Stefana Mościana, byłego proboszcza tej parafii, który przyznał się do jej narodzin w roku 1959 i póź-

niejszego rozwoju. Następnie procesjonalnie udano się na miejsce przyszłej budowy. Ceremonii poświęcenia przewodniczył proboszcz parafii gdyńskiej ks. Jerzy Bajorek w asyście ks. Stefana Mościana i ks. Kazimierza Doppke. Mszę św. dziękczynną odprawił w kościele miejscowy proboszcz.

Fakt rozpoczęcia budowy plebanii ma dla tej parafii istotne znaczenie. Dom ten ma stać się swego rodzaju centrum w propagowaniu wzniosłych ideałów głoszonych przez Biskupa Franciszka Hodura. W przyszłym roku przypada 30 rocznica śmierci (16 lutego 1983 r.) tego szlachetnego Biskupa i Polaka. Dokłada się wszelkich starań, aby na ten dzień dom parafialny był już gotowy (w stanie surowym). Jako pomnik ku czci wielkiego Biskupa ma przypominać tę pełną bezinteresownej miłości postać, będącą wzorem na dziś i na przyszłość dla wszystkich polskokatolików.

Obok funkcji mieszkalnych, dom parafialny ma stać się miejscem szerzenia ideologii naszego Kościoła oraz idei ekumenizmu w Trójmieście. Służyć temu będzie zaprojektowana tu kaplica katechetyczna i biblioteka z czytelnią.

Parafia gdyńska, na skutek zabiegów swego proboszcza, a dzięki pomocy finansowej Władz Kościoła, dokonała w ostatnich latach wielu znaczących prac. Przeprowadzono generalny remont świątyni wraz z malowaniem, wykonano nową elewację zewnętrzną, powstała funkcjonalna, sprzyjająca modlitwie strefa ołtarzowa, której centralnym punktem jest figura Chrystusa Ukrzyżowanego, wykonana w brązie przez znaną rzeźbiarkę krakowską Joannę Hussarską-Chmielarz.

Powstający obiekt im. Biskupa Franciszka Hodura w Gdyni ma być nie tyle plebanią, co przede wszystkim domem dla tej młodej rozwijającej się parafii polskokatolickiej.

K.P.



Chwila poezji



Kopice siana po łąkach...

Kopice siana po łąkach.
Gdzieś w głębi lśnią wierzchów garby —
Słońce się rozzuchwała,
Iskrzące sieje skarby.
Pod stromym huczy urwiskiem
Dunajec wieczysta rzeka,
Ciemne go świerki strzegą,
On z szumem od świerków ucieka
W samo południe, w godzinie,
Skąpane w rozżarach złota,
Staje nad brzegiem potoku
Samotna ludzka tęsknota.
Wierzącą porzuca izbę,
Powieki zmęczone przetrze,
Piersiami pełnymi chłonie
Przewonne, ciepłe powietrze.
Ku dalom rwie się bezkreśnym,
W błękitów gubi się toni
Lub z rozwartymi oczyma
Fałne poszumy goni.
A fałdów jej sukni powiewnej
Czepia się dłońmi drżącymi
Żal cichy i szept: Jak trudno
Rozstawać się z duszą tej ziemi...

Jan Kasprowicz

ŚWIATOWA KONFERENCJA

„Działacze religijni na rzecz ratowania świętego daru życia przed katastrofą nuklearną” MOSKWA — 10—14 1982 R.



W dniu 6 maja br., w gmachu Urzędu Rady Ministrów w Warszawie, pod przewodnictwem ówczesnego kierownika Urzędu do Spraw Wyznań, min. Jerzego KUBERSKIEGO, odbyło się spotkanie delegacji udającej się na konferencję pokojową do Moskwy.

Ze strony władz państwowych w konferencji udział wzięli: wiceminister Spraw Zagranicznych Józef WIEJACZ i wicedyrektor Urzędu do Spraw Wyznań Tadeusz DUSIK.

Społeczność polskokatolicką reprezentował zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego bp Tadeusz R. MAJEWSKI, a Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików — prezes Zarządu Głównego ks. dr

Wiktor WYSOCZAŃSKI; Polską Radę Ekumeniczną — ks. prezes prof. dr Witold BENEDYKTOWICZ; Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny — J. Em. Metropolita BAZYLI; Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne — poseł Kazimierz MORAWSKI i poseł Zdzisław PILECKI; Stowarzyszenie „PAX” — poseł Janusz STEFANOWICZ i poseł Jerzy HAGMAJER; Kościół Adwentystów Dnia Siódmego — ks. doc. dr hab. Zachariasz ŁYKO, patrz: zdjęcia 1—3.

Oficjalny komunikat oraz dokumenty przyjęte przez Konferencję ukażą się w następnych numerach naszego tygodnika.

4. Widak na salę obrad

W pierwszym rzędzie delegacja z Polski: poseł Zdzisław PILECKI, poseł Kazimierz MORAWSKI, bp Tadeusz R. MAJEWSKI, ks. prezes dr Wiktor WYSOCZAŃSKI, ks. sekretarz Zachariusz LYKO, ks. dziekan Anatoli SZYDŁOWSKI

5. Prezydium Konferencji

Od strony prawej: Patriarcha PIMEN, Patriarcha Aleksandrii, Patriarcha Rumunii, Patriarcha Bułgarii, Patriarcha Etiopii, Dr Billy GRAHAM, Metropolita New Delhi, Arcybiskup Paulos GREGORIOS i inni.



5





Niezapomniany mistrz sceny polskiej — Aleksander Zelwerowicz

Odchodzą aktorzy — podobnie jak wszyscy inni. Ale ich zgon pozostaje jakoś dłużej w pamięci — bardziej nieraz niż naszych przyjaciół, znajomych. I choć nie „milkną” kreowane przez nich postacie, w każdej z granych na scenie ról zabraknie tego czegoś, co tylko oni potrafili w nią tchnąć, czym ją rozświetlić. Zostanie na kartach trylogii Onufry Zagłoba, Stomil w tangu „Mrożka, Tartuffe czy Fokstaff — ale nie będzie już Mieczysława Pawlikowskiego, niezapomnianego ich odtwórcy, człowieka ogromnego serca i talentu. To on przecież sprawił, że miliony ludzi z zapartym tchem śledziło kulisy rozgrywek Churchilla o losy powojennej Europy, o kształt dzisiejszej Polski w telewizyjnej „Sprawie polskiej”, zaśmiewały się z Mamajewa z „Pamiętnika szubrawca” Ostrowskiego, oburzały za wykrętne zeznanie Geringa w „Wyroku norymberskim”. Lotnik i pisarz, pilot bombowca w bitwie o Anglię i aktor — pozostał Mieczysław Pawlikowski w naszej pamięci jako ulubieniec telewizyjnej i teatralnej publiczności, jako niezwykle ciekawa postać, pełna wewnętrznej ciepła, ludzkiej życzliwości. Będzie się grać jego role, ale nie będą to już te same postacie, zabraknie im ducha, który je ożywia.

Zabrakło już również od przeszło trzech lat Andrzeja Boguckiego (zmarł w sierpniu 1978 r) znakomitego aktora teatralnego i estradowego, niezapomnianego Koczkario-wowa w gogolowskim „Ożenku”. Dla wielu A. Bogucki zapisał się w pamięci przede wszystkim jako wykonawca starych i nowych piosenek, wielu przebojów. Nikt chyba nie potrafił dotychczas tak pięknie, sugestywnie i z takim wyczuciem zaśpiewać wielkiego przedwojennego przeboju: „Bo mi jest szkoda lata”. Dla dzisiejszych piosenkarzy i autorów tekstów, piosenka ta może być wzorem, zarówno wykonawstwa i aranżacji, jak też i piękna języka polskiego. Wszyscy pamiętamy go również z radiowych lekcji wykonawstwa piosenek, które prowadził A. Bogucki w warszawskich szkołach podstawowych.

Nie żyje również już od kilku lat Kazimierz Opaliński, świetny wykonawca głównej roli w amerykańskiej sztuce „Drewniany talerz”. Był również odtwórcą głównej roli w doskonałym filmie „Mój drugi ożenek”, zrealizowanym na podstawie głośnej powieści J. Mortona. Na trwałe zapisał się

również w radiowej audycji „W Jezioranach” — przede wszystkim mieszkańcom wsi — jako dziadek Mateusz. O jego śmierci Agencja PAP zamieściła taki komunikat: „W Warszawie zmarł w wieku 89 lat nestor polskiej sceny, jeden z najwybitniejszych i najbardziej lubianych aktorów — Kazimierz Opaliński. Artysta związany do ostatnich chwil swego życia z Teatrem Narodowym, znany był milionom widzów z dużego i małego ekranu, radia i sceny, gdzie stworzył wiele niezapomnianych kreacji”.

Był aktorem przeważnie wielkich i głównych ról, tak można krótko scharakteryzować Władysława Hańcę. Grywał wielkich panów! Był więc wojewodą w „Mazepie”, Senatorem w „Dziadach”, Aleksandrem Medici w „Lorenzacciu”, był królem Learem, Dunkanem w „Makbecie”, Derwidem w „Lilli Wenedzie”, księciem Januszem Radziwiłłem w „Potopie” czy wreszcie proboszczem w filmie „Jadą goście, jadą”. Był aktorem bardzo lubianym. W ostatnich latach życia stał się szczególnie popularny.

Ulubieńcy publiczności

dzięki pracy w filmie i TV. Wszyscy pamiętamy go dobrze z serialu telewizyjnego, zrealizowanego na podstawie arcydzieła W. Reymonta „Chłopi”. Jako Boryna zrósł się w wyobraźni widzów trwale z postacią bohatera powieści. Umiał być po prostu prawdziwy. Bardzo będzie brak na scenie polskiej Władysława Hańcy i nie łatwo będzie go zastąpić. Zmarł nagle 19 listopada 1977 roku.

Tadeusz Fijewski — ulubiony aktor całej chyba Polski. Debiutował bardzo wcześnie — jako dziesięcioletni chłopiec w Teatrze Polskim w sztuce Moliere „Chory z urodzenia”. Któż wtedy przypuszczał, że ten młody chłopiec z warszawskiego Powiśla — statysta razem z wielu innymi, nie rozstanie się już ze sztuką nigdy. W „Chorym z urodzenia” wystąpił w 50 lat po debiucie na tej samej scenie — ale już w roli Argona. Zagrał w



Aż trudno uwierzyć, że nie ma już wśród nas Tadeusza Fijewskiego

ponad 30 filmach. Ról telewizyjnych — w tym także wybitnych — zliczyć nie sposób. W „Notesie” Skowrońskiego stworzył jedną z nich, grając bezrobotnego. Całym swoim życiem twórczym, a także walką w konspiracji okupacyjnej, związał się z Warszawą, ze swoim rodzinnym miastem. Z jego folkloru wykorzystał wiele do ról — głównie filmowych i telewizyjnych, w których prezentował ludzi przegranych, ale bliskich widzowi. Warszawskiej publiczności na scenach stolicy stworzył wybitne kreacje, z których Twardasza z „Dożywocia” Fredry, Wujka Eugeniusza z „Tanga” Mrożka, Kalmitę z „Chłopców” Grochowiaka, Chlestakowa z „Rewizora” Gogola, Gogo z „Czekając na Godota” czy tragiczną postać ojca z „Niespodzianki” Roztoworskiego, nie sposób zapomnieć.

Aktorem z legendy nazwano Bolesława Mierzejewskiego, pomimo, że nie dożył lat Ludwika Solskiego. Nieubłagana śmierć zabrała go dosłownie na kilka godzin przed ukończeniem 94 roku życia, a stało się to w wrześniowy dzień 1980 r. Talent Bolesława Mierzejewskiego dojrzał w okresie wybitnych manifestacji literackich i scenicznych, między premierą „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego a premierą „Sułkowskiego” Stefana Żeromskiego. Dominował wówczas nastrój patriotycznego uniesienia, poświęcenia i gotowość wyrzeczeń dla dobra kraju. Z tym uniesieniem siedł przez całe życie, wstrząsane dwiema wojnami, zaborami i okupacją hitlerowską. Głęboko przeżywał odejście naszych mistrzów pióra i słowa polskiego — najpierw Stanisława Wyspiańskiego potem Marii Konopnickiej, Bolesława Prusa i Henryka Sienkiewicza. W roku 1916 zagnał w Krakowie Lucjana Rydla — swego wielkiego przyjaciela i dyrektora teatralnego. A przecież jeszcze przyszedł smutek po Stefanie Żeromskim, Władysławie Reymoncie, a także po Stanisławie Przybyszewskim. Bolesław Mierzejewski był już wówczas u szczytu kariery filmowej i teatralnej. Występował m.in. w „Przedwiośniu”, „Urodzie życia”, „Dziejach grzechu”, „Wiernej rzecze”, w „Chłopach” i „Strasznym dworze”, w „Duszach niewoli”. Dla wielu pokoleń stał się jakby łącznikiem między dawnymi a nowymi czasami polskiego teatru, przewodnią więzią między epokami Rapackiego, Kotarbińskiego, Solskiego, Leszczyńskiego, Osterwy, Węgrzyna, Jaracza, a latami Woszczerowicza, Hańcy, Opalińskiego, Dymisy, Barszczewskiej, Andrycz, Hanin, Zapasiwicz, Gogolewskiego... Potrafił w swoim zawodzie wszystko, był znakomity w dramacie, komedii, śpiewał urzekająco pięknie, zdołał film, a na koniec okazało się, że władał piórem niczym zawodowy literat. Jego książka pt. „Maraton z Melpomeną” rozeszła się błyskawicznie. Zmarł w Katowicach, w których zamieszkiwał od kilku lat.

Ci wszyscy, którzy znali Ludwika Sempońskiego ze sceny, estrady, filmu czy telewizji, byli na pewno zaskoczeni jego śmiercią (w kwietniu zeszłego roku). Wszystkim nam bowiem zdawało się, że znakomity aktor, o tak niespożytej energii, pełen wery, kondycji, i niemal tanecznego kroku, na każdym swych występach, będzie jeszcze długo bawił i czarował publiczność. A jednak stało się inaczej. Jego działalność artystyczna ściśle związana była z Warszawą. W roku 1979 obchodził 60-lecie pracy scenicznej, z tego przeszło 20 lat w warszawskim teatrze „Syrena”. Potrafił w swoim zawodzie wszystko, grał w filmie i teatrze, był znakomitym piosenkarzem, pedagogiem i profesorem PWST w Warszawie. A do tego jeszcze w życiu wspomniał i czarującym człowiekiem. Napisał książkę wspomnieniową, którą poświęcił znakomitym artystom polskiego teatru i filmu pt. „Wielcy artyści małej sceny”. Książka ta miała olbrzymie powodzenie i dziwić się należy, że tylko raz została wznowiona. W repertuarze tzw. Fin de siecle'u nie miał sobie równych. „Titina” — oraz przeróbka tej piosenki na parodię wyszydającą A. Hitlera „Ach ten wąsik, ten płasik” to istne perełki jego talentu. Odszedł artysta wielki, wspaniały — i trudno go będzie zastąpić.

Bolesław Prus, zwolennik i wyznawca realizmu w twórczości, dążył stale do tego, aby materiał do swych utworów brać przede wszystkim z obserwacji zjawisk życiowych i tylko wtedy, gdy osobiste spostrzeżenia były niemożliwe, posługiwał się studiami naukowymi. Musiał to uczynić, opisując np. w „Lalce” Paryż, gdzie sam mimo starań wówczas jeszcze nie był — a gdy od powieści współczesnej przeszedł do historycznej, wtedy studia z konieczności wysunęły się na plan pierwszy. A jednak nawet w takich wypadkach, gdy chodziło o opisy nieznanymi miejscowości, Prus posługiwał się bardzo ciekawym środkiem: mianowicie własne przeżycia i własne obserwacje, zdobyte zupełnie gdzie indziej i w zupełnie odrębnych warunkach, umiał i tutaj spożytkować. A więc w „Lalce” pewne wrażenia, których doznał będąc w Wiedniu, przeniósł do Paryża, a pisząc „Faraona” dwa momenty, kulminacyjne pod względem napięcia, zawdzięczał przeżyciom, doznany w Polsce, i to wówczas, gdy myśl powieści z dziejów Egiptu nie powstała w jego psychice. Te dwa momenty, to wstrząsająca podróż po labiryncie i potężna scena zaćmienia słońca. Pierwszą przeżył w 1877 r., zwiedzając Wieliczkę, pełne zaćmienie obserwował w 1887 w Mławie.

W zależności od charakteru odbierania wrażeń ze świata zewnętrznego, Prus dzielił ludzi na dwie kategorie: na tych, którzy podobni ptakom osiadłym, cieszą się i doznają pełnego zadowolenia w obcowaniu z jedną okolicą, w poznawaniu jej i przez to w coraz większym zbliżeniu, zespoleniu z nią — i na tych, których jak ptaki wędrowne pędzi coraz do innych miejsc żądza poznania rzeczy nowych i zjawisk niezwykłych.

Sam zaliczał się do kategorii pierwszej: istotnie życie jego było niebogate we wrażenia i mało urozmaicone: szereg lat bez zmiany, spędzał sierpień i wrzesień w Nałęczowie, a resztę roku w Warszawie. Wyjeżdżając przy tym na wypoczynek letni pragnął przede wszystkim wrażeń łagodnych, spokojnych i prostych: wsią zachwycał się dlatego, że „jest cisza” („Lalka”). Wszelkie wrażenia silniejsze, jego — człowieka chorującego na lęk przestrzeni — trwożyły.

„Będąc na wsi — pisał — lubię patrzeć na sunące po ziemi cienie obłoków, kiedy zjeżdżają z zielonego pagórka, mkną po równinie i znowu wpływają na drobne wzniesienia gruntu.

Należy to do bardzo ładnych widoków, jeżeli obłoczek jest mały, przezroczysty i sunie po ziemi z prędkością niewiele większą od chodu człowieka. Ale kiedy nadleci chmura, rzucająca cień czarny, który nadjeżdża na ciebie z szybkością 10 lub 15 metrów na sekundę, jak lokomotywa, wówczas widok staje się przykrym”.

Poszukując w naturze objawów prostych, łagodnych i codziennych, Prus znajdował zupełne zadowolenie w obcowaniu z nimi, w zbliżaniu się do nich i w ich obserwowaniu. To ciągle obserwowanie czyni z Prusa — obok psychiki wrażliwej na piękno — naukowca, któremu nie wystarczy odczucie, lecz który chce również to, co wywiera na nim wrażenie, poznać i ocenić.



Bolesław Prus — właśc. Aleksander Głowacki (1847—1912). Pomnik na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie

O PRUSIE — inaczej W 70 rocznicę śmierci

I ta właśnie namiętność naukowca pcha nieraz Prusa do poznania w przyrodzie zjawisk niezwykłych, potężnych, wspaniałych i groźnych. Objawy takie przerażają Prusa niesłychanie, cierpi on straszliwie, doznając ich — ale żądza poznania rzeczywistości, a następnie kult dla przyrody, z którą Prus czuje się zespolony głęboko, pcha go mimo wszystko do poznania i badania: „natura, nawet wówczas, gdy przeraża, jest jeszcze piękną i twórczą. Głęboko wstrząsa ona duszą, ale zarazem odnawia ją i przebudowuje” — jak pisał Prus w 1887 r. w „Kurierze Codziennym”.

Do chwil, które wstrząsnęły jego psychiką, chwil, w których „dusza mu się rozszerzyła”, należy pobyt w kopalni w Wieliczce, którą zwiedził jadąc na wystawę lwowską.

„Gdy dziś — pisał w „Kurierze Warszawskim” — przypominam sobie te rzeczy, myślę, że przez trzy godziny miałem sen dziwny, na którego treść złożyły się przedmioty dotychczas nie znane i nie przeczuwane...”

„Wyobraźcie sobie — opisuje tak jedną z sal Wieliczki — bardzo wielki kościół, w którym jesteście w chwili trzęsienia ziemi. Jego ściany, wysokie i grube sklepienia nagle pękają, rozpadają się na potężne, nieforemne kawały, które lecą z góry i z boku, ścigają się, wyprzedzają, aby was zdruzgotać. Nagle jakaś siła powstrzymuje je... skamieniały w biegu, lecz patrzą na was tak jak dziki zwierz, gotujący się do skoku. W tym czarnym i olbrzymim cielsku domyślacie się na chwilę zakrzepłego życia. Tajemnicze

wędzidło hamuje wściekłość potworu, lecz gdy go puści...”

Gdy pisząc „Faraona” Prus przedstawił podróż Ramzesa XIII po tajemniczym labiryncie, wyobraźnia, natrafiwszy na przedmiot poniekąd pokrewny, narzuciła mu przede wszystkim własne przeżycia z Wieliczki, nadając tej scenie w powieści charakter wyrazisty, silny i prawdziwy.

Zaćmienie słońca nie interesowało zbytnio Prusa jako człowieka nauki. Część astronomiczną poznał już w Szkole Głównej i niewiele go ono obchodziło. Kiedy zaś sam stał się świadkiem zaćmienia, pisze: „zrobiło ono na mnie ogromne wrażenie”. Uczuł on przy tym, jak sam powiedział, przede wszystkim „moralny wpływ” zaćmienia. Objawił się on w niezwykłym podnieceniu uczucia i fantazji. Od zupełnego znieczulenia, braku wszelkich pragnień przechodzi Prus do niepokoju tak silnego, że nie może sobie znaleźć miejsca, a nad tym wszystkim dominuje głęboki smutek i nieokreślony żal:

„Ach! jak smutno, jak smutno... Dusza straciła swą indywidualność i jest tylko kroplą, odbijającą jakieś nieokreślone uczucia całej natury. To nie ślepy gniew burzy, to nie groza gór, przygniatających człowieka... To jest raczej żal, powszechne strokanie świata.

Żal za czym?... Z jakiego powodu?... Może ziemia myśli i oto teraz wyobraża sobie straszną epokę, kiedy gasnące słońce zamiast światła będzie rzucać tylko pomrok”.

Prus znajduje tylko jeden moment w dziejach świata, który pod względem grozy i cierpienia odpowiadałby tej chwili: to ukrzyżowanie Chrystusa. Na pamięć przychodzi mu wersety biblijne:

„Było około szóstej i stała się ciemność po wszystkiej ziemi, zaćmiło się słońce i zasłona kościelna rozdarła się w pół... A Jezus, zawoławszy głosem wielkim: Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mego, skonał”.

Wobec takich przeżyć cele ściśle naukowe maleją, nikną, do obserwacji Prus jest niezdolny, dusza jego, przepojona wielkością zjawiska, snuje nić metafizyczną:

„Nieprawda, że jest tylko jeden świat; są dwa światy: ten i tamten; ten, który mamy pod nogami, jest ziemskim; tamten, do którego trzeba podnieść głowę, jest niebem, może nawet tym, o którym mówi katechizm i Biblia...”

Obserwacja zaćmienia słońca niewątpliwie wpłynęła na to, że Prus kulminacyjną scenę walki kapłanów z Ramzesem XIII oparł na potężnym przejawie natury. Kapłani w powieści reprezentują myśl, rozum, wiedzę, w osiągnięciu celów konsekwencję żelazną, której nie przeszkodzą żadne moralne względy — faraon zaś uczucie, porywy szlachetne, nie skoordynowane opanowaniem i wiedzą. Pomiędzy tymi dwiema mocami psychiki ludzkiej — rozumem i uczuciem — rzadko Prus dostrzegał harmonię, częściej widział walkę, walkę, którą widział także w sobie samym.



Czy tylko w czasie deszczu dzieci się nudzą?

„W czasie deszczu dzieci się nudzą” — głosi sympatyczna piosenka, ale czy tylko w czasie deszczu? Wiemy, że z dziećmi bywa różnie.

— *Tatusiu, powiedz, co mam teraz robić?*

— *Mamo, pobaw się ze mną!*

— *W co mam się teraz bawić, bo się nudzę?!*

Ileż to razy rodzice spotykają się z tego rodzaju pytaniami — nieomal skargami ze strony swych pociech. Jedne dzieci potrafią szybko znaleźć sobie zajęcie w mieszkaniu, na podwórzu lub plaży, inne zaś nieustannie tylko pytają swoich rodziców, w jaki sposób zapełnić pustkę, co zrobić, żeby się nie nudzić.

Najczęściej rodzice zbywają swe pociechy odpowiedziami, typu: „pooglądaj sobie telewizję”, „podaj mi kapcie”, „przejdź się po podwórku” lub „popatrz sobie na ludzi przez okno”. Takie rady wcale nie zmniejszają uczucia dziecięcej nudy. Dziecko postulszne i przywiązane do matki wykona wskazane czynności, lecz ponownie zapyta, czym mogłoby się zająć. Należy więc mu w tym pomóc.

W jednym z przedszkoli kazano dzieciom narysować dziecko, które się nudzi. Gdy rysunki były gotowe, zadano tymże przedszkolakom pytanie, dlaczego bohater ich rysunku się nudzi. Oto kilka charakterystycznych odpowiedzi dzieci:

— *Chłopczyk nudzi się, bo mamusia wyszła, jest sam i nie ma co robić.*

— *Chłopczyk nudzi się, bo tatuś i mamusia wyjechali.*

— *Lalka nudzi się, bo jest na wsi u wujka, chciałaby zobaczyć mamusię i tatusia.*

Rodzice winni stale mieć świadomość, że ich dziecko na każdym kroku chce wiedzieć, że jest dla nich kimś ważnym, że dla jego spraw potrafią przerwać własne zajęcia.

Dziecko w wieku pięciu czy sześciu lat z trudem wystarcza sobie samo. Chętniej bawi się w grupie, jeden z chłopców, z grupy przedszkolnej, wyznał: — *Nudzę się, ponieważ mam grę, w którą można grać tylko we dwoje.*

Istotne znaczenie ma tutaj temperament naszych pociech. Dzieci uczuciowe są szczególnie pod tym względem uczulone. Cokolwiek bowiem wykonują, chcą robić dla osób, które kochają. Jeśli coś

rysują lub układają klocki, to po to, aby ucieszyć mamusię lub tatusia.

Dzieciom nerwowym nie brak wprawdzie pomysłów, lecz chcąc robić wszystko na raz, nie wiedzą, od czego zacząć. Gdy coś wreszcie rozpoczną, po chwili rzucają zajęcie, bowiem pragną już nowego.

Są również dzieci odczuwające szczególnie szybko znużenie fizyczne. Te zazwyczaj stronią od hałaśliwych rówieśników i ich zabaw, wpadając tym łatwiej w stan nudy.

Nasze niewielkie mieszkania też sprzyjają nudzie dziecięcej, bo ograniczają wrodzoną, i tak przecież potrzebną do rozwoju, ruchliwość dziecka.

Rodzice zdobywają się nieraz na kosztowne, wymyślne zabawki i potem dziwią się, że dzieci nie bardzo się nimi cieszą. Wolą np. klej, kolorowy papier, nożyczki, plastelinę i trochę drutu, bo w ten sposób tworzą same „dziwy z bajki” lub z własnej wyobraźni. Dorośli nieraz są mile zaskoczeni, gdy w przedszkolu rysunek ich dziecka, czy też praca wykonana w plastelinie, zostały wyróżnione, wzbudzając podziw starszych. Dziecko ma swój własny świat wyobraźni i nie bardzo chce do niego gotowych zabawek. Dzieci bowiem pragną być twórcami, a nadmiar



zabawek sprzyja tylko nudzie. Taka jest już dziecięca natura.

Co zatem radzić rodzicom, szczególnie matkom, aby ich dziecko nie nudziło się?

Przede wszystkim należy utrzymywać stałą, ścisłą więź z dzieckiem (nie wolno rozmawiać ze swoim dzieckiem w tzw. „przejściu”). Całodziennemu, serdecznemu, a tak bardzo koniecznemu kontaktowi sprzyja zwłaszcza niedziela, bowiem przez cały tydzień roboczy rodzice są zbyt zajęci obowiązkami zawodowymi i domowymi. Niech właśnie niedziela będzie owym wyczekiwanym, radosnym dniem dla naszych milusińskich. Także urlopy rodziców winny sprzyjać serdecznej jedności z dziećmi.

Rodzice powinni angażować się w sprawy i świat wyobrażeń swego dziecka. Nie wolno odpowiadać w sposób nic nie znaczący, a już tym bardziej odsyłać dziecko z owym „później ci powiem”, za którym kryje się zwykłe „daj mi spokój”.

— *Pokaż mi, córeczko, coś narysowała!*

— *Jakie ładne kaczuszkę narysowałaś, Aniu!*

— *Zobacz tu, do książeczki, może spróbujesz narysować takiego pieska?!*

Ileż dobra dla rozwoju dziecka kryje się w tych pozornie nic nie znaczących słowach dorosłych — zainteresowanie się pracą dziecka, chęć niesienia mu pomocy. Jeśli zaś słowa będą jeszcze poparte inicjatywą pokazania dziecku czegoś nowego i nieco trudniejszego, nie będzie nawet mowy o nudzie.

Dorośli muszą pamiętać, że na nudzenie się i uczucie samotności narażeni są zwłaszcza jedynacy. Istnieje bowiem u nich wzmożona potrzeba towarzystwa innych. Nie wolno izolować swych pociech i zamykać drzwi przed innymi dziećmi. Trzeba też pamiętać o temperamentach swoich milusińskich. Dzieci ociężałe, często zamyślane biernie należy umiejętnie pobudzać do działania i konsekwentnie rozwijać w nich aktywność i samodzielność. Dzieci nerwowe i pobudliwe trzeba natomiast uczyć cierpliwości, kładąc nacisk na końcowy efekt rozpoczętej przez nie pracy bądź zabawy.

Wiem o tym, że zasygnalizowane tylko przeze mnie sprawy nie wyczerpują zagadnienia. Niemniej jednak pewne wskazówki dla rodziców przedstawione w tym artykule, może okażą się pomocne w tegorocznym sezonie wakacyjno — letnim.

TERESA NOWAK

— dzieciom

Na wakacje!

Cały poprzedni tydzień wszyscy w domu żyli pod wrażeniem dzisiejszego wyjazdu. Nadszedł wreszcie ten upragniony dzień — dzień, naszego wyjazdu na wakacje! Właśnie dziś, obładowani walizkami i tobołami, przypominając raczej jakieś juczne zwierzęta w rodzaju wielbłąda, a nie ludzi, wyruszyliśmy na podbój tatrzańskich połonin... Byliśmy uśmiechnięci i z niezłomnym optymizmem ufaliśmy naszym talentom organizacyjnym. Nic nie było w stanie nas zrazić — ani nie-najlepsza pogoda, ani wizja długiej i męczącej podróży, ani nawet fakt, że nie uprzedziliśmy znajomego bacy o naszym przejeździe, i nie wiedzieliśmy, czy baca „przyjmie nas na mieszkanie”. Liczyło się dla nas tylko to, że wyruszamy na całomiesięczne, tak wyczekiwane wakacje!

W pociągu był tłok niesamowity. Wydawało się nam, że chyba wszyscy nagle umówili się ze sobą, by jechać zaczerpnąć górskiego powietrza, podobnie zresztą jak i my. Rety, co się działo w przejściach! Ludziska przechodzili przez te poustawiane na podłodze bagaże, poruszając się na zasadzie słońa w składzie porcelany! Coraz to słyhać było głośne „ochy” i „achy” starszych babć, którym bezlitośnie deptano po odciskach bądź rozgniatano na ścianach przedziałów. Zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje, że jeśli pociąg jest prawie pusty, to wszyscy siedzą sobie grzecznie na miejscach i nie ruszają się z nich aż do końca podróży, a jeżeli jest okropny tłok — nagle mają mnóstwo interesów do załatwienia właśnie tam, gdzie najtrudniej się przepchnąć. Ciągłe wtedy chodzą to tam, to tu, choć wcale nie jest to łatwe. Może to jakiś rodzaj sportu czy zabawy? Sam nie wiem...

Mama z tatą stali, ściśnięci jak przysłowiowe sardynki w puszcze, niedaleko mnie. Mnie natomiast udało się „wygospodarować” całkiem niezłe miejsce: usiadłem na czyjejs walizce a niewygodnie

było mi o tyle, że musiałem jedną nogę schować pod siebie (żeby jej nie rozdeptano na placek), a drugą — ułożyłem równoległe do drzwi przedziału, pod którym siedziałem. Pocieszałem się tym, że ci, którzy siedzą w maleńkiej toalecie kolejowej (a było ich siedmiu!) — też nie mają luksusowych warunków jazdy...

Mama często powtarza w domu, że do wszystkiego można się przyzwycząić. Nie wiem, czy to prawda, bo po kilku godzinach takiego siedzenia wydawało mi się, że jednej nogi nie mam już zupełnie, a druga — tak mi zdrętwiała, że bałem się ją ruszyć. I czy można się przyzwycząić do takiej niewygody? Prawdę mówiąc, sam zupełnie nie rozumiem tego, jak w takiej pozycji mogłem zasnąć!

Obudziłem się, kiedy tata przeniósł mnie na rękach do przedziału. Nie było już takiego tłoku, znalazło się nawet wygodne miejsce siedzące. Wymęczeni, śpiący i niezłe już głodni dojechaliśmy do Zakopanego...

Powitał nas cudny jak zwykle Giewont, osnuty delikatną siecią mgieł, i promienie wschodzącego słońca. Byliśmy już prawie na miejscu, czekał nas tylko jeszcze dojazd do Poronina, gdzie mieszkał nasz znajomy góral. Mozolnie wlokąc się w kierunku budynku stacji, zobaczyliśmy, jak pod stację zajeżdża z fasonem lekka bryka, zaprzęgnięta w zgrabnego, siwego konika. Na koźle zaś — czy nie mylą nas oczy?! Przecież to nasz ewentualny gospodarz?! Co on tu robi o tej porze?

Sprawa wyjaśniła się bardzo szybko. Okazało się, że „Jontek” — jak mówił do niego tata — przyjechał właśnie po nas. A skąd wiedział, że przyjedziemy? To dla niego było zupełnie pewne. Nie mógł sobie po prostu wyobrazić, że jeżeli ktoś był w Poroninie dwa razy z rzędu na całomiesięczne lipcowe wczasy, to jakby mógł nie przyjechać i na następne wakacje? Nie przyjechać do Poronina — to było zupełnie niemożliwe! Zdradził też nam z uśmiechem, że to już drugi dzień tak zajeżdża pod stację, bo nie był pewny dnia naszego przyjazdu. Dziś rano też, aż się doczekał...

Zapakowaliśmy nasze bagaże do bryczki, góral cmoknął na swego siwka, i ruszyliśmy. W milczeniu spoglądałem na góry, skrzące się w słonecznych promieniach złotem, zastanawiając się nad całym najbliższym miesiącem. Czy będę szukał śpiących rycerzy, czy znajdę jaskinię, pełną skarbów, czy będę biegał po skałach jak zwinne kozice? Góry są tak piękne, ale i tak tajemnicze, że nigdy nie wiem, co mnie w nich czeka. I to jest właśnie najpiękniejsze — to oczekiwanie na coś, co może się wydarzyć w każdej chwili, ale tylko — w wakacje... Co więc wydarzy się nam w tegoroczne wakacje? Zobaczmy...

E.L.

Witajcie, wakacje!

Ten rok szkolny trwał wyjątkowo długo, bo aż całe 10 miesięcy. Nic więc dziwnego, że dzieci i młodzież z utęsknieniem oczekiwały wymarzonej wakacji. Szczególnie, że maj i czerwiec raczyły nas wręcz tropikalnymi upałami, a tu trzeba było siedzieć w szkole i myśleć o nauce. Trudno było, bo za oknem wspaniała pogoda, nad rzeką mnóstwo „wczesnych” wczasowiczów, a ciemna zieleń drzew zachęcała już do odpoczynku. Należało jednak uczyć się, i jeszcze raz — uczyć się, aby jak najkorzystniej wypaść na finiszu szkolnych ocen. Każdemu bowiem zależało na pięknych cenzurach, którymi można by było poszczycić się w domu i przed kolegami.



Wszystkim uczniom życzymy podczas tegorocznych wakacji dobrego, tak bardzo zasłużonego wypoczynku, samych słonecznych dni, mnóstwa ciekawych przygód i poznania wielu miłych przyjaciół.

Mamy nadzieję, że tym razem aura dopisze, humory również, a nasze pociechy wrócą z kolonii, obozów wędrownych bądź z wakacji „u babci” czy innego typu rodzinnych wojaży — opalone na „czekoladki”.

M.K.

Kolorowy czas

*Dziś cenzura odebrana
jestem już w następnej klasie,
a więc laba ukochana
rozpoczyna mi się właśnie.*

*Pojedziemy na Mazury,
może w góry, hen — pod chmury?
Lub nadmorskie zwiedzać piaski,
by bursztynu ujrzyć blaski.*

*Lubię też polować w lesie,
gdzie mój głos w dal echo niesie.
Mknąć za rudą kitą lisa —
marząc, że to lowy na tygrysa!*

*Strach mnie bierze, gdy pomyślę
o tatrzańskich szczytach.
Stamtąd widok, oczywiście,
najpiękniejszy, lecz wejść? — gdzież by
tam!*

*Jeszcze nie wiem co wybiorę,
czy szum fal, las lub wodę?
Jedno pewne jest, że Was
nie zapomnę w letni czas.*

*Barwny bukiet z łąk i pól
zapach lasu, jezior, gór,
szafir chabrów, dzwonków róż,
czerwień maków, złoto zbóż ...*

*cały ziołem tchnący las
zbiore, by wakacji czas,
kolorowe letnie dni
powracały do mnie niby sny.*

MAŁGORZATA KAPIŃSKA



Pogadanki O HISTORII KOŚCIOŁA

Petycja Polaków ze Scranton

Ośrodkiem, wokół którego skupił się patriotyczno-religijny ruch Polonii amerykańskiej, stało się Scranton w stanie Pensylwania. W tym górniczym mieście Polacy stanowili liczącą się grupę narodowościową. Mieli też własną parafię. W swojej świątyni pragnęli się czuć pełnymi Polakami. Tymczasem, na skutek niewłaściwej polityki władz kościelnych, otrzymali jako duszpasterza Niemca, ks. Ryszarda Austa. Nie lubił on swoich parafian, choć jadł chleb zarobiony polskimi rękami. Jego zdaniem, Polacy mieli obowiązek — bez szemrania — służyć i płacić, a w miarę upływu czasu wymagania materialne ks. Austa rosły. Polacy wykorzystywani niemiłosiernie i na dodatek lekceważeni, postanowili przywołać swego proboszcza do porządku. Zawiazali komitet parafialny, który miał przeprowadzić kon-

trołę gospodarki kościelnej ks. Austa. Proboszcz, dowiedziawszy się o zamiarach parafian, zgromił ich publicznie z ambony i nazwał buntownikami i heretykami. Oburzeni ludzie zebrali się w następną niedzielę wokół świątyni i nie wpuścili do niej ks. Austa. Ks. Aust wezwał policję, która aresztowała przywódców opozycji. Prawo było przeciw Polakom, ponieważ kościół należał zgodnie z uchwałą synodu baltimorskiego z 1884 roku do biskupa, a nie do parafian, chociaż oni właśnie go zbudowali. Skrzywdzeni ludzie poprosili o pomoc i radę swego byłego wikariusza Polaka — ks. Franciszka Hodura, który niedawno opuścił Scranton i objął samodzielnie placówkę duszpasterską w Nanticoke. Ks. Hodur poradził, by Polacy wzniesli własny kościół i poprosili biskupa o polskiego księdza. Scrantonianie poszli za tą radą. Zakupili plac i rozpoczęli budowę nowej świątyni.

Delegacja Polonii scrantonńskiej udała się do biskupa rzymskokatolickiego O'Hary i poprosiła o przydział polskiego księdza. Biskup obiecał dać księdza, ale pod warunkiem, że Polacy przepiszą świątynię na własność biskupa, zgodnie ze wspomnianym prawem baltimorskim. Polacy nie wyrazili zgody na ten warunek i poprosili ks. Hodura, by objął nad nimi opiekę duszpasterską. Ks. Hodur po głębokim namyśle przybył do Scranton, aby stanąć w obronie pokrzywdzonych. Początkowo usiłował przekonać biskupa, by poszedł na ustępstwa, a gdy to nie po-



Ks. bp Franciszek Hodur

skutkowało, udał się z petycją ludu polskiego aż do Rzymu.

Petycja zawierała cztery postulaty: 1) Prośbę o Polaka w episkopacie rzymskokatolickim w USA, który mógłby być rzecznikiem polskich spraw, 2) Prośbę o zgodę na unarodowienie majątków kościelnych, to znaczy, by dobra materialne parafii należały do członków gminy wyznaniowej, a nie były własnością biskupa, 3) Prośbę o przyznanie ludowi praw kolatora. (Kolator, czyli patron w Europie miał wpływ na obsadzanie placówek duszpasterskich odpowiednimi kapłanami), 4) Prośbę o prawo administrowania dobrami ko-

ścielnymi wspólnoty przez ludzi wybranych z jej łona, co zapobiegłoby nadużyciom i wyzyskowi ze strony duchownych.

Petycja nie żądała żadnych zmian, które godziłyby nawet tylko pośrednio w ustrój, a tym bardziej w dogmaty kościelne.

Uzyskawszy pisemne poparcie działającego w Galicji obrońcy ludu, ks. Stojałowskiego, ks. Franciszek Hodur na czele delegacji ze Scranton przybył do Rzymu na początku 1898 roku. Przed oblicze papieża nie zostali dopuszczeni. Delegację przyjął prefekt Kongregacji Propagandy Wiary, kard. Ledóchowski — Polak — były arcybiskup gnieźnieński. Zgasił on wszelkie nadzieje delegatów Polonii na poparcie:

„Zapamiętajcie sobie, że Stolica Święta nie będzie ustanawiała osobnych praw dla garstki katolików polskiego pochodzenia, skazanej w Ameryce na niezawodne wynarodowienie, pośród kulturalnego i bogatego otoczenia”.

Czas pokazał, że kard. Ledóchowski nie miał racji. Dzięki żarliwej wierze i gorącemu patriotyzmowi takich ludzi jak ks. Hodur i wielu jemu podobnych rodaków, w Ameryce Polonia zachowała do dziś świadomość odrębności narodowej, polską kulturę i zwyczaje, a nawet w dużej części język polski.

Odrzucenie petycji przez Watykan, dało do zrozumienia scrantonńczykom, że mają liczyć wyłącznie na pomoc Bożą i własne siły.

KS. ALEKSANDER BIELEC

PORADY PORADY PORADY

Futerko dla dzieci

Króliki hoduje się w niejednym gospodarstwie. Dostarczają one nie tylko smacznego mięsa lecz i skóry, z których można zrobić wiele praktycznych rzeczy, jak futerko dla dzieci i ciepłe czapeczki. Skórki możemy wygarbować domowym sposobem. Nie każdy z hodowców wie, jak z tym się uporać.

Skórę po zdjęciu wywraca się włosem do środka i usuwa się bardzo ostrożnie resztki mięsa, tłuszczu i ścięgien. Suszy się ją naciągając na odpowiednie prawniki drewniane lub wygięte z drutu. Po wysuszeniu skórę rozcina się ostrym nożem wzdłuż podbrzusza i zanurza się ją w wodzie z dodatkiem octu (1 szklanka octu na 60 litrów wody). W tej kąpieli trzyma się suchą skórę przez 2—3 dni. Po wymoczeniu skórę rozkłada się na stół włosem do spodu i usuwa błonę przyskórzną. Wykonujemy to bardzo ostrożnie i delikatnie, aby nie uszkodzić skórki. Kolej na garbowanie. Na 10 litrów wody bierze się 90 dkg alunu i 45 dkg soli kuchennej. Składniki te rozpuszczamy w

wodzie o temperaturze 22°C. Ten roztwór wystarczy na 6 skór. W tym roztworze trzymamy skórę przez 2 dni. Codziennie każdą skórę starannie wygniatamy w roztworze.

Po garbowaniu skórki wyciskamy i rozpinamy na desce przymocowując drobnymi gwoździkami lub pineskami. Skórki należy dobrze rozciągnąć. Suszymy w miejscu przewiewnym, ciemnym, z dala od źródła ciepła. Gdy są półsuche zdejmujemy z deski, dobrze je wygniatamy i ponownie rozpinamy do całkowitego wyschnięcia. Będą wówczas bardziej miękkie. Kiedy skórki są już wysuszone, sporządzamy mieszaninę z 50 g gliceryny, 1 żółtka, 15 gramów tranu i 1 łyżeczki amoniaku i tą mieszaniną nacieramy skórę po stronie spodniej. Następnie dobrze wygniatamy w celu zmiękczenia jej.

Futerka pierzemy sami — po prostu czystym je talkiem — kolorowe trocinami. Po wyczyszczeniu dokładnie się wytrzepuje.

Kulinarne

Makaron w omelecie

20 dkg makaronu ugotować w dużej ilości osolonej wody. Gdy miękki, wlać kubek zimnej wody i pozostawić pod przykryciem przez 10 minut, a następnie dobrze odcedzić. Następnie przygotować masę na omelet biorąc po dwa jajka na osobę. Jajka wbić

do miski, dodać do smaku sól, pieprz oraz po łyżce mleka na dwa jajka. Masę lekko ubić widelcem.

Pokrajany w kostkę boczek wędzony stopić na patelni, a gdy się lekko zarumieni wlać jajka i położyć na nich makaron. Nie mieszać, smażyć, aż jajka się zetną. Gotowe danie posypać natką pietruszki lub siekanym koperkiem. Podawać z dużą ilością sałaty lub sałatki z rzodkiewek i szczypiorku ze śmietaną.

Risotto różowe

25 dkg jakiegokolwiek kiełbasy przepuścić przez maszynkę i przesmażyć na patelni, aby tłuszcz się wytopił. Dodać szklankę przebranego i opłukanego ryżu, łyżeczkę papryki, sól do smaku, łyżkę koncentratu pomidorowego i wszystko to jeszcze smażyć ciągle mieszając przez 5 minut. Następnie przełożyć ryż do rondla, zalać dwoma szklankami wrzątku, jeśli trzeba, dodać soli do smaku i gotować pod przykryciem na bardzo wolnym ogniu przez 15 minut. Ryż ułożyć na półmisku. Kto ma, może otworzyć małą puszkę zielonego groszku, podgrzać go, osączyć i ułożyć groszek wokół ryżu. Ryż posypać z wierzchu zieleniną i podać z dodatkiem sezonowej surówki.

Pieczeń rzymska

Do 1 kg mielonego mięsa dodać 2 namoczone i odciśnięte bułeczki, 2 całe jajka, łyżkę ma-

ślą, sól, pieprz i kto ma trochę startej gałki muszkatołowej oraz garść siekanej natki. Masę dobrze wyrobić i rozłożyć ją równą warstwą na stolnicy wysypanej tartą bułką. Na mięsie rozsypaną równą warstwą osączony z zalewy zielony groszek, lekko go wcisnąć. Na brzegu ułożyć wzdłuż 2 ugotowane na twardo i obrane ze skorupki jajka. Masę zwinąć jak roladę, ułożyć w wąskiej blaszce wysmarowanej tłuszczem i wysypanej tartą bułką. Z wierzchu skropić topionym masłem. Piec w dobrze nagrzanym piekarniku około godziny. Podawać pieczeń na ciepło lub na zimno pokrojoną w plastry z dodatkiem sezonowej surówki.

Kajmak

1/2 litra mleka gotować na wolnym ogniu z 20 dkg cukru ciągle mieszając. Gdy masa zgęstnieje przestudzić i dodać 18 dkg masła. Ucierać masę tak długo, aż podwoi swoją objętość. Letni kajmak rozsmarować na kruchym spodzie.

Mazurek kajmakowy

Z 30 dkg mąki, 20 dkg margaryny, 10 dkg cukru-pudru i 1 żółtka zagnieść kruche ciasto. Gdyby było za twarde, dodać 2—3 łyżki śmietany. Rozwałkować je na grubość 1 cm i ułożyć w prostokątnej blaszce lub w okrągłej tortownicy. Brzeg plaćka posmarować białkiem i obłożyć pasmami ciasta. Upiec na złoty kolor. Po wystudzeniu posmarować masą kajmakową.



Rozmowy z Czytelnikami

List Pana Mariana R. z Makowa czekał chyba najdłużej w historii tej rubryki na opracowanie. Napisany jeszcze we wrześniu ubiegłego roku, „zapodział się” i leżał cichutko między odłożonymi do akt korespondencjami, już publikowanymi. Gdyby nie okresowa kontrola, mógł w ogóle pozostać bez odpowiedzi. Taki przypadek wydarzył się nam dopiero po raz pierwszy i mamy nadzieję, że ostatni.

Pan Marian oznajmia, że pracuje na kolei i w związku z tym chciałby poznać bliżej Patrona „żelaznych dróg”. W swym liście pisze: „Słyszałem, że patronką kolejarzy jest święta Katarzyna. Niestety, nigdzie nie mogę znaleźć jakichkolwiek danych o jej życiu, śmierci i dlaczego jest przydzielona kolejarzom na patrona. Bardzo proszę podać choć kilka szczegółów biografii naszej patronki, a jeśli to możliwe — również jej podobiznę”.

Zacny Przyjacielu. Czując wyrzuty sumienia za przeoczenie tak grzecznego listu, tym gorliwiej zabrałem się do poszukiwań w materiałach „patologicznych”, jakie mi są dostępne, by w pełni zadośćuczynić Pańskiej prośbie. Osobiście bowiem znam tylko sylwetki patronów najgłośniejszych, o których mówi Biblia. Przydzielenie poszczególnych świętych Pańskich na Opiekunów bractw, rzemiosł, a szczególnie kościołów i kaplic nastąpiło w średniowieczu i kontynuowane jest do chwili obecnej wyłącznie przez prawosławie i katolicyzm. Nie muszę przypominać o starej tradycji obchodzenia imienin, zwłaszcza u nas, w Polsce, co powinno się wiązać nie tylko z przyjmowaniem gości przez sołnizanta, lecz również z duchową łącznością ze świętym patronem, o czym, niestety, wielu wierzących Polaków zupełnie zapomina. Wróćmy jednak do sprawy.

Nasz tygodnik „Rodzina” podał w roku 1979 na swoich łamach bardzo obszerną listę świętych i Opiekunów i przypi-

sane ich opiece zawody. Na tej liście znajdują się dwie święte Katarzyny. Pierwszą wymienia kalendarz liturgiczny w dniu 30 kwietnia. Żyła w latach 1347—1380. Była przedostatnim dzieckiem z 24 rodzeństwa. Pochodziła ze Sieny i dlatego zwiemy ją Katarzyną Sienieńską. Hagiografowie podają, że obdarzył ją Bóg stygmatami i wiedzą wspaną. Na liście patronów figuruje jako Opiekunka ekspedientek. Świętej Katarzynie Aleksandryjskiej, której imię czcimy 25 listopada, oddano w opiekę filozofów, mówców i... kominiarzy! Ani przy jednej, ani przy drugiej nie ma mowy o pionierach żelaznych szlaków. Brac kolejarzską przypisano natomiast świętemu Klemensowi Marii Hofbauerowi, zwanemu też Dworzakiem. Samo imię Klemens oznacza człowieka spokojnego, łagodnego i opanowanego. Przymioty te mogą bardzo ułatwić Waszą odpowiedzialną służbę. Święty Klemens Hofbauer pochodził z Moraw. Najpierw był piekarzem, potem został kapłanem — członkiem zakonu redemptorystów. On to właśnie wraz z braćmi swego zakonu przybył do Warszawy w roku 1787 i osiadł przy kościełku św. Benona. Z tej racji zwano w Polsce redemptorystów benonitami. Wyrznięci z Warszawy udaje się do Wiednia, gdzie przyczynia się do odnowienia gorliwości w wierze. Umiera w roku 1820. Liturgia przeznaczona dla 15 marca. Dlaczego mianowano go patronem kolejarzy? Chyba dlatego, że pracował w Warszawie i Wiedniu, a między tymi miastami zaczęła niebawem kursować jedna z pierwszych międzynarodowych kolei, zwana wiedeńsko-warszawska. Podobizny wyżej wymienionych świętych redakcja nasza nie posiada. Tak więc zacny Panie Romanie, nie św. Katarzyna, a św. Klemens ma pod swoim patronatem kolejarzkie rzemieślnicze. Na pocieszenie powiem, że to wcale nie przeszkadza, by Pan mógł powierzyć swoje kolejarzkie losy pod opiekę jakiegos innego świętego lub świętej. W ramach świętych obcowania wolno chrześcijaninowi ubiegać się o patronat nawet wielu świętych, jeśli wyraża gorące pragnienie naśladowania ich w miłości Boga i bliźniego.

Liczni Czytelnicy, a między nimi Urszula i Halina z Izbisk oraz Marian P. z Futomy pytają, gdzie można zakupić Pismo Święte, bo urzędy parafialne takowymi nie dysponują.

Informujemy, że Biblii Tysiąclecia można szukać jedynie w antykwariatach. Całe Pismo Święte, oraz szeroki wachlarz

tłumaczeń Nowego Testamentu, można nabyć w Brytyjskim i Zagranicznym Towarzystwie Biblijnym, którego siedziba mieści się przy ulicy Nowy Świat 40 w Warszawie.

Szybkiego nabycia Księgi Świętej i światła Bożego w trakcie lektury życzy

DUSZPASTERZ

Dlaczego Murzyni są czarni?

Gdybyśmy chcieli dojść do przyczyn zabarwienia skóry różnych ludzi o odmiennych typach antropologicznych zamieszkujących naszą Ziemię, napotkalibyśmy mnóstwo zagadek, hipotez i domysłów. Gospodarka pigmentem, od którego zależy zabarwienie skóry jest bowiem zjawiskiem dotąd mało zbadanym.

Naturalna barwa skóry, gdyż zdarzają się zmiany zabarwienia skóry pod wpływem pożywienia, przyjmowanych leków czy chorób, zależy przede wszystkim od ilości zawartego w niej pigmentu, w pewnej mierze również od ukrwienia skóry i stanu układu krążenia. Barwnik skóry, pigment czyli melanina występuje w postaci mikroskopijnych ziarenek barwy od jasnożółtej, przez czerwono-brązową do brązowoczarnej. Ziarenka te znajdują się w najgłębszej warstwie naskórka, a czasem i głębiej w skórze właściwej. Barwnik nie jest rozmieszczony równomiernie, niektóre okolice skóry są znacznie ciemniejsze, np. brodawki piersiowe, zaś dłonie i stopy przeciwnie — są zawsze jaśniejsze od pozostałej skóry.

Ze względu na kolor skóry i gatunek oraz barwę owłosienia dzieli się rodzaj ludzki na trzy główne pnie, a więc rasy: białą lub europeoidalną, żółtą lub mongoidalną i czarną czyli negroidalną. Pień biały zamieszkuje Europę, obie Ameryki, Azję Zachodnią, Afrykę Północną i Południową, a również częściowo Australię. Skóra ludzi „białych” ma różne odcienie, od niemal białej karnacji Irlandczyków do śniadej Hindusów. Owłosienie jest obfite, proste lub falujące blond, rude lub czarne.

Pień żółty zamieszkuje Azję Środkową i Wschodnią, Indonezję, Oceanię, Madagaskar i Amerykę. Amerykę zamieszkuje tzw. „rasa czerwona”, która jest odmianą rasy żółtej. Skóra ludzi rasy żółtej ma kolor żółtawy, jasnobrunatny, oliwkowozielony i miedzianoczerwony. Owłosienie skąpe, proste i zawsze czarne.

Wreszcie pień czarny zamieszkuje Afrykę Środkową i częściowo południową, południowy skraj Azji, Australię, oraz — jako ludność napływowa — Amerykę. Skóra jest koloru od jasnoczekoladowego do intensywnie czarnego. Włosy zawsze czarne, krótkie, gęste i welniście — skręcone.

Oczywiście, cechy rasowe związane z barwą skóry i owłosieniem nie wyczerpują innych różnic antropologicznych, jak kształt czaszki, twarzy, częstość występowania pewnych grup krwi i inne. Podział ludzi na rasy — ras czystych od dawna już nie ma — nie oznacza oczywiście, wyższości którejkolwiek z ras, a ma znaczenie wyłącznie biologiczne.

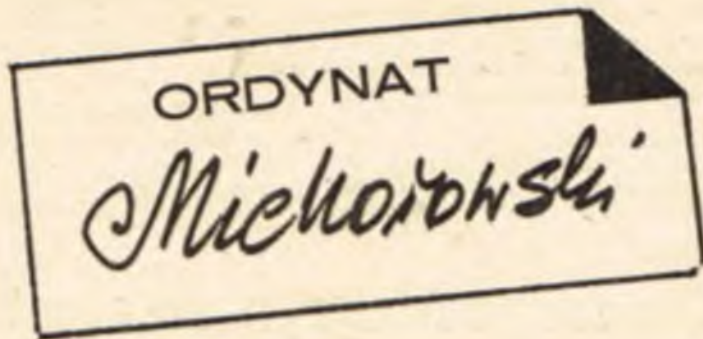
Otóż nietrudno się domyśleć, że Murzyn posiada bez porównania więcej pigmentu niż Europejczyk, a Mongoł ustępuje pod tym względem Murzynowi, choć góruje nad Europejczykiem. Pigment Murzyna ma zresztą więcej ziarenek bardzo ciemnych niż pigment w skórze Mongoła. Noworodki mają mało pigmentu, co jest przyczyną znanego zjawiska, iż noworodki murzyńskie są różowe, niewiele ciemniejsze od swych rówieśników znanad Wisły. Dlaczego jednak, kiedy i w jaki sposób wytworzyły się u mieszkańców Ziemi trzy odmienne barwy skóry rasy tego nauka nie umie do tej pory definitywnie wyjaśnić.

A. M.

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Bałakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wójciewicz, ks. Wiktor Wysoczański (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Ewa Stomal, Małgorzata Zientarska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312, roczna na 1982 r. — 492 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Zam. 240. Z-36.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI



bie pieniądze i w istocie nie przywiązują do nich żadnej wagi, wpadają na matnię domu gry.

Bo ta jaskinia zdolna jest wydobyć żądzę złota z najtajniejszej skrytki ludzkiej istoty, tym bardziej, jeżeli trafi na naturę zapalną, gorącą. Umie dokazać tej sztuki, jak sprowadzenie zamglonych ideał oczu poety z obłoków na sukno rule'y.

Ta puszcza o złotym podniebieniu pożera tysiące bezwartościowych, ale i cennych jaźni, ciągnie je na swój lep i przetrawia. Wyrzuca z siebie trupy moralne i fizyczne i chlonie, chlonie bez odpoczynku. Nienasycona, groźna! Nagle Michorowski doznał jakby rzutu wewnętrznego, aby wyrwać stąd nieznanego młodzieńca. On już hrnie w tej okrutnej paszczęce. Wyszarpnął go z jej zębów póki czas.

Nagły rzut wewnętrzny stał się silnym pragnieniem. Michorowski nie rozumiał tego uczucia skierowanego na obcego człowieka, lecz i nie analizował go.

Chciał ratować ginącego, bo... chciał. Dlaczego?... — nie zdawał sobie sprawy. Sam niegdyś grał w tym potwornym gmachu, ale on miał za wiele milionów, więc mu złoto nie imponowało. Jednak wciągał się, nie wskutek chciwości samego złota, lecz wskutek chęci wygrania. Nerwy tu działały. Przerwał, bo poczuł w ustach gorzki smak wstrętu. Prawie każdy odczuje ten smak, ale często za późno. Nieznajomy jest właśnie w fazie najniebezpieczniejszej: goręcej.

Michorowski, widząc go, nie pojmował, co go tak podnieca. Młodzieniec czynił na nim wrażenie podejrzanego, trochę narwańca.

Nie wiedział jeszcze wówczas, że on gra.

Ordynat, drgnął na swej ławce. Usłyszał w hucznej alei młody głos i był pewny, że należy do nieznanego.

Ale to głos znajomy! Co to jest?...

Spoza kłombów wyszedł młodzieniec w białym flanelowym kostiumie, prowadząc rozmowę z jakimś ospałym brunetem.

— Upewniam pana — mówił po polsku, że to ostatnia stawka. Jeśli przegram, diabeł się pocieszy.

— Bo przestałbyś pan z tą ruletą! — rzekł brunet tonem upominającym.

Młody człowiek roześmiał się.

— Kapitalny! To tak, jakbyś pan do tonącego powiedział: „przestań do licha z tą wodą!” Cha! cha!...

Brunet znowu coś mówił, czego już ordynat nie słyszał, bo znikł w drzwiach Kasyna.

Zerwał się i poszedł za nimi.

Co to za głos? co to za głos? myślał, tracąc czoło.

W sali gry usiadł na hucznej kanapie i poszukiwał wzrokiem wśród tłumu otaczającego stoły. Łatwo odnalazł młodzieńca, który już wzmieszał się w liczbę grających i cały był pochłonięty swoją stawką. Brunet stał za nim.

Gra trwała długo. Charakterystyczne, suche głosy krupierów odzywały się złowieszczo jak puszczyki. Brzęk złota, śpieszne oddechy graczy, często wykrzyk hołesny, jakieś westchnienie — odrzynały się plastyczniej od ogólnego, lekkiego szumu dużej masy ludzi.

Ordynat, widząc tylko plecy młodzieńca, badał twarze innych. Zapłonione policzki kobiet, ich oczy piekące chciwością, włos rozwiany, często zakierowany kapelusze były wyborną ilustracją stanu wewnętrznego tych istot. Gra brała ich w siebie z niepokonaną mocą. Poza tą ruletą świat cały zdawał się dla nich nie istnieć. Ale Michorowski, zaciekawiony jak wygląda twarz nieznanego młodzieńca, poszedł na drugą stronę sali, skąd mógł ją dobrze obserwować i tam zajął miejsce. Spojrzał, i zamiast badać wyraz, wpatrzył się w rysy młodego chłopca.

— Kto to jest?! — szepnął do siebie.

Jakieś odległe wspomnienie wionęło nagle i krótko. Ta twarz... te oczy... Tak! tak! coś bardzo znajomego.

Chłopak trzymał utkwiony wzrok na stole, ale błędził po nim. Na gromady złota patrzył chwilowo z wyrazem, jakby mówił „kpię z ciebie, ale będziesz moje”. Na krupierów spoglądał z ironią, na publikę nie zwracał żadnej uwagi. Miał minę, jakby gra szła tylko dla niego.

Ciemno piwne oczy błyszczały mu nie żądzą, lecz ciekawością. Usta pełne, świeże, pod ledwo syjącym się wąsikiem, krzywił nerwowo na różne sposoby: składał wargi jak do gwizdania, podciągał je pod nos, rozsuwał, ukazując białe zęby. Czasem uśmiech łobuzerski mignął na szczupłej, smagłej twarzy, czasem szybki jak błysk przestrach. Wówczas nagłym ruchem dotykał dłońmi głowy, porosłej lśniącem ciemno-blond włosom zaczesanym w górę. Brwi miał ostro zarysowane i dość skupione.

Ordynat na tych brwiach i ustach zatrzymał najdłuższą badawczą żrenicę. Ale w ruchach, i w głosie, i w całej postaci było coś, co Michorowskiego wprost zdumiewało.

Nat szcze młodzieniec grę skończył.

Przegrał.

Ordynat nie spuszczał z niego oczu. Doznał dziwnej satysfakcji, zobaczywszy, że chłopak po momentalnym, niewidocznym prawie cieniu na twarzy, ukłonił się z wielkim wdziękiem krupierowi, i cofając się, palnął na cały głos do bruneta po polsku:

— Myślał, juha, że zblednę!

Zaczął się śmiać, trochę nieaturalnie, lecz odważnie, i mówił dalej, wysuwając się z kół grających.

— Nihi nic dziwnego, że przegrałem: jestem prawie szczęśliwy w miłości. Ale swoją drogą fortuna dała mi mata. A to mi się splukał! — pisał o miennym, przeciągłym głosem.

Podszli obaj blisko w stronę ordynata. Chłopak rzucił się na sofę. Brunet usiadł przy nim z miną wielce nieszczęśliwą. Chwilę milczeli. Ordynat udawał, że patrzy na grających. Coraz więcej zajmował go, niepokoił i bawił ten młodzieniec. On tymczasem kręcił się na sofie nerwowo, zdradzając chęć do gwizdania. Raz nawet jakiś niesforny ton wyleciał z jego ust, lecz młodzieniec zmytygował się w porę. Poczym zaczął mówić swobodnie:

— Niech pan jeszcze nie ma pogrzebowej miny, jeszcze żyję. Widzi pan: to się nazywa los brać za rogi, jak byka, gdy bodzie. No i cóż?! Nie mam na zapłacenie hotelu, nie mam na podróż... ha! nawet nie mam na obiad, bo już same długi. Ale rewolwer mam w kieszeni; gdybym chciał — trrach! i po wszystkim.

— Co też pan mówił! Ale, jakże można?... Co znowu!... — oburzył się przerażony brunet.

— Cha, cha! paradny pan jest! Ja bym się miał dla głupiej ruletki, która mnie okradła, strzelać?! Ani myślę! Niech się nie cieszy nadzieją!

Zasłabł się i znowu mówił, ku stałemu przerażeniu bruneta, który miał taką minę, jakby nie wiedział, czego się martwić: czy że młodzieniec nie chce się strzelać, czy że może się zastrzelić.

— Myśli pan, że ja palnąłbym sobie w łeb w parku? — mówił chłopak. — Ani trochę! Tu, w tej sali, przy samej rulecie... Co?! To byłby efekt szalony! Z parku zmietliby mnie stróż jak śmieć, nikt by nawet nie widział! Ale tu! O!! wszystkie lady i misy by pomdlały. Moja krew padłaby na ruletę, splamiała złoto. Ehe może bym się przyczynił do oczyszczenia świata z tego plugastwa. Jak pan myśli: zamknęliby budę?

Brunet wzruszył ramionami.

(16)

c.d.n.

Czy wiecie, że...

Pierwszy numer Warszawskiego Tygodnika Ilustrowanego „Stolica” ukazał się 3 listopada 1946 r. Wydawcą czasopisma była Naczelną



Rada Odbudowy Warszawy. Ten ukazujący się od kilkudziesięciu lat tygodniowy magazyn ilustrowany jest systematyczną kroniką i zaśluzonym popularyzatorem wszystkich spraw stolicy. Redakcja „Stolicy” jest również wydawcą popularnych Kalendarzy Warszawskich. W Kalendarzach Warszawskich ukazują się kolejno ciekawe serie: „Patronowie ulic Warszawy” i „Kto jest kim”, a także roczne „Kalendarze wydarzeń”.

Najpopularniejszy dziennik popołudniowy w Polsce i oczywiście w Warszawie — „Express Wieczorny”, ukazuje się nieprzerwanie od 1946 r. Pierwszym redaktorem „Expressu” był Rafał Praga, który zmarł w 36 roku życia, 24 maja 1953 r.

Pierwszy pokaz filmowy w Warszawie odbył się w 1896 r., dopiero 13 lat później był pokaz lotniczy. Oczywiście film był niemy i trwał zaledwie kilkanaście minut. Pierwsze stałe kino powstało w 1897 r. (przy Krakowskim Przedmieściu róg ulicy Trębackiej). Zywot jego był jednak krótki. Ale już w 1904 r. założono warszawski kinematograf: „Iluzjon” u zbiegu ulic Złotej i Marszałkowskiej. Seans w tym kinie trwał półtorej godziny. Składał się nie tylko z filmu. Były tam występy magiczne, rodzaj dzisiejszej kroniki filmowej, krótkie mi-gawki przygodne i komiczne, oczywiście nieme.

Pierwszy pokaz lotniczy odbył się od 15 do 19 września 1909 r. Lotnik francuski Legagneux latał na samolocie typu „Volsin” (silnik 50-konny). Startował z Pola Mokotowskiego i na niskim pułapie (ok. 18 m nad ziemią) dokonywał krótkich lotów długości około półtora kilometra.

(Z.)